Nr 43 (1605). Warszawa, 28 października 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Głos polskiego ludu.

Biskup.
Gdzie Piastów orla perć
gdzie orli szczytny gród...
Śmierć.
Tam gruz i cmentarz pełen trun.
Biskup.
Spełnione dzieło...
Śmierć.
Dzieło twoje!..
Stanisław Wyspiański.

Ten djalog, z głębin sumienia narodowego przez wielkiego poetę dobyty, był jeszcze do niedawna prawdą, i był niestety prawdą *jedyną* naszej rzeczywistości społecznej. Trupi dech, dech mogilnej pustki, jaki zeń wieje, był atmosferą naszego bytu.

Smierć, z rąk Biskupa biorąca we władanie cmentarzysko dziejowe, na którym legł naród cały, żywcem pogrzebany; Biskup, przekazujący marom śmiertelnym spełnione przez się dzieło, dzieło zniszczenia swej ojczyzny: —o! genjalnym trzeba być poetą, aby w jednym obrazie takim zamknąć wiekową tragedję Polski. Rzuca nas ów obraz przed oblicze jakiegoś straszliwego trybunału, ścierającego ludy z oblicza ziemi — niemo i obojętnie, przenosi nas w jakąś zaświatową ciszę, dokąd nie dochodzi jęk pomordowanych narodów. Stąd, z owej ciszy kamiennej, w której wobec beznamiętnego i bezlitosnego sądu, ważą się losy narodów, płynie ów dreszcz nicości, przenikającej nas zawsze, ilekroć głęboko w przeszłość własną spojrzymy.

Wyspiański w przeszłość tę patrzył długo, głęboko, boleśnie: więc w wejrzeniu jego odbiła się i zastygła nakoniec, jakoby na wieki, groza tego, co ujrzał.— „Gdzie Piastów orla perć, gdzie orli szczytny gród, — tam gruz i cmentarz pełen trun".

Atoli, najgenialniejsi nawet śród poetów jasnowidze, nie zdolni bywają do przebicia zasłon przyszłości. Jakże często lot wypadków rzeczywistych wznosi się wyżej ponad lot fantazji!

Słuszne, bezwzględnie słuszne są słowa Fryderyka Nietzschego, iż właściwie poeci zawsze i z konieczności są e p i g o n a m i: muszą oni z wielu względów patrzeć ustawicznie wstecz, tak iż można ich uważać za mosty do najdalszych czasów i wyobrażeń, do wymierających lub umarłych światów.

Epigonem był również Wyspiański. Wyobraźnia jego daje nam jasnowidcze odtworzenie i ujęcie prawdy, ale prawdy dnia wczorajszego!

Otóż wczoraj jeszcze prawdą mogła być martwota, gdy dzień dzisiejszy niesie nam p r a w d ę ż y c i a, przed którą tamta ustąpić musi, jak „gruz i cmentarz pełen trun" ustępuje przed tryumfem młodej, zieleniejącej o wiośnie runi.

Wielkie żywotne idee wypowiadane być mogą przez nieliczne usta. O ich sile stanowi to, że słyszą je — miljony. Jak opiewa tradycja, chrystjanizm w świat poniosło dwunastu apostołów. Reformacja za punkt wyjścia miała zrazu niezmiernie szczupłe ognisko duchów. „Deklaracja praw człowieka i obywatela", nim usankcjonowana została przez rzesze, narodziła się i żyła w głowach kilku jednostek.

A w naszych dziejach ojczystych, konstytucja 3-go maja, czyż nie zawdzięcza swego powstania bohaterskiej woli garści ideowców? Legjony, owe zbrojne, z pod ziemi wyrosłe zwiastuny odrodzenia narodowego, zali nie były dziełem kilku wodzów, którzy odgromem kroków swych zbudzili kraj śpiący w głębokiej nocy upodlenia?

Także i teraz przez nieliczne usta przemówiła prawda z popiołów dźwigającego się życia.

Trzydzieści siedem podpisów położono pod skryptem, który zawiera odpowiedź „Zaraniarzy" na list pasterski ks. bisk. Zdzitowieckiego, a który jedną tylko mieć będzie nazwę w historji polskiej: *Manifest ludu polskiego*, — akt uroczysty, którym lud polski bierze w posiadanie skołataną naszą dolę historyczną. Lud budził się długo, stopniowo, powoli. Ale oto, w rzeczonym liście trzydziestu siedmiu obywateli-włościan, skierowanym do biskupa Włocławskiego, zyskaliśmy świadectwo dowodne, iż lud, w centralnym ognisku swej myśli, dorósł już wolą i świadomością do zadań narodowych. Własną odtąd wolą postanawia i własnym sądem sądzi.

Chwycił dłonią własną *złoty róg*, i już go z rąk nie puści, i już go nie zagubi w kniei, bo tym razem nie fantazja cudza, ale własny rozum i własne sumienie róg ów ująć mu kazały w rękę.

Uderza wielka godzina historyczna!

Nie Smierć, jak w dramacie poety, ale Życie, młode, potęgą i zapałem tętniące. Życie staje oko w oko z Biskupem, wzywa go przed sąd dziejowy, i żąda strasznego obrachunku.

Przetarłszy oczy po długim śnie bezwładu, lud mierzy oczyma duchowieństwo, szlachtę, mieszczaństwo, swoich starszych braci, ogarnia wzrokiem inteligencję, a widząc wokoło zgniliznę, ucisk i spustoszenie, zda się wołać ku nim: „Dlaczegoście mnie *wy* nie obudzili? Dlaczegoście nie obudzili mnie wtenczas, kiedy ginęła ojczyzna?"

* * *

List otwarty do J. E. ks. biskupa djecezji Kujawsko-Kaliskiej, ks. Stan. K. Zdzitowieckiego.

Odpowiedź Zaraniarzy na List pasterski [1]).

W niedzielę, dnia 17-go zeszłego miesiąca, we wszystkich kościołach w Kaliskiem księża odczytali z ambon List pasterski ks. biskupa Zdzitowieckiego, a potym go tłumaczyli i rzucali pioruny na *Zaranie* i na nas zaraniarzy, a nawet zakazywali nas pozdrawiać „pochwalonym". To też my, zaraniarze, za ów „List pasterski" i za taką pieczę o nas, za to właśnie prześladowanie nas składamy Waszej Excelencji staropolskie „Bóg zapłać".

A teraz piszemy w obronie *Zarania* i odpowiadamy na niesłuszne zarzuty, jakimi Wasza Excelencja obdarzył nas w swoim Liście pasterskim.

Będziemy się tu pilnowali tego, cośmy słyszeli i czytali, lecz swój sąd o tej sprawie wydamy.

Wasza Excelencja w „Liście" swym ma na względzie to wrogie — według Jego zdania — pismo *Zaranie*. Pouczył nas o tym artykuł w Nr. 181-ym *Polaka-Katolika*, pisma, które cudze wady tylko widzi, a swoje zakrywa. My bowiem czytamy wszystkie gazety, tylko, że, czytając je, własny sąd mamy i zachowujemy go i sami widzimy, co jest dobre a co złe.

My włościanie polscy dorośliśmy już do tyla, by poznać, gdzie jest fałsz, a gdzie prawda, i... że papier na wszystko jest cierpliwy.

Ale przedewszystkim Pan Bóg obdarzył człowieka rozumem i wolną wolą — dał mu duszę wolną, pamięć i sumienie. I nas włościan Pan Bóg obdarzył tymi przymiotami, więc się nie można sprzeciwiać woli Bożej — wszystko czytamy i robimy, jak nam rozum dyktuje, gdyż

[1]) Tekst „Odpowiedzi" podajemy w brzmieniu dosłownym, jedynie z opuszczeniem kilku mniej ważnych zdań

ECHA PRAWDY.

Powtórna lekcja.

Nad *Towarzystwem literatów i dziennikarzy* w Warszawie zawisło jakieś złowrogie fatum. Jest ono instytucją młodą, istnieje zaledwie lat parę, a już dźwiga za sobą łańcuchy gnębiącej tradycji, już dało się opętać nałogom.

Tradycję, mianowicie, wyrobiło sobie *Towarzystwo* przez systematyczne, konsekwentne ponawianie nadużyć *władzy sądzenia*, przez dopuszczanie się nietaktów nieraz krzyczących, ale zawsze oblekanych w tak jowiszową powagę, że ten i ów z członków *Zarządu* mógł miewać chwilę złudzenia, iż uczestniczy w gronie nieśmiertelnych, z wyżyn Olimpu rozstrzygających losy świata.

Istotnie w towarzystwie dzienn. i literatów nie braknie postaci olimpijskich. Szkoda jeno, że Atena, bogini rozsądku i mądrości odwróciła od nich swe gniewne lub może zawstydzone lica.

Mniej więcej pół roku temu, witając z uznaniem zrzeczenie się przez *Tow. lit. i dz.* ferowania wyroków przeciwko nieczłonkom towarzystwa, jako pierwszy krok na drodze odrodzenia tej instytucji, wyraziliśmy jednocześnie pod jej adresem życzenie, ażeby, jeśli nie uważa za właściwe poniechać niewdzięcznej roli kontrolera moralności literatów polskich, rozpoczęła akcję etyczną od siebie i zechciała wytłomaczyć niektórym swoim członkom, że:

1) popieranie oszczerczych insynuacji, choćby pośrednio, jest rzeczą brzydką nawet wtedy, kiedy ją czyni się względem wrogów i konkurentów;

2) udział w sądzie etycznym ludzi, którzy przez sąd honorowy przekonani zostali, że lekkomyślnie rzucają zarzuty, których później nie dowodzą, jest niewłaściwy;

3) obniża powagę instytucji sądzącej sprawy honorowe udział w niej osób, mających za sobą praktykę *czynną i bierną*, bądź w policzkowaniu, bądź w okładaniu bliźnich kijem [1]).

Co się tyczy życzeń, zawartych w ostatniej pozycji, to przyznać należy, iż w znacznym stopniu stało im się zadość. Natomiast dwa poprzedzające ją postulaty nie znalazły należytego uwzględnienia. Po dawnemu w rzeczonej instytucji grają rolę jednostki, które splamiły się zarówno popieraniem „insynuacji oszczerczych", jak i lekkomyślnym rzucaniem zarzutów na ludzi niewinnych. W ostatnich tygodniach pisma podały wiadomość o wykreśleniu z listy członków *Towarzystwa*, przez zarząd instytucji, pewnego literata za oszczerstwo i obelgi w druku. Wykreślenie nastąpiło na żądanie i z inicjatywy pokrzywdzonego.

[1]) „Prawda" nr. 12 r. b.

to pewna, że każdemu człowiekowi wolno, jako wolnemu we własnym sumieniu, wszystko czytać, a potym własny sąd wydać podług sumienia, nie zaś czekać, aż mu „ktoś" da wolność czytania.

Więc my nie chcemy być takimi, by nam narzucano, co czytać mamy, lub wzbraniano coś czytać. Księga wiedzy jest już otwarta dla wszystkich jednako.

Ileż to zbrodni, jak częstochowskie, powstaje z winy „uczonych w Piśmie". A czy który ludowiec-zaraniarz popełnił, już nie coś podobnego, ale mniejszej wagi świętokradztwo? My, chociaż czytamy *Zaranie* — to „przewrotne, złe pismo", aleśmy od religji nie odpadli i żadnej sekty nie stworzyliśmy, jak się to zdarzyło... nie wśród nas przecież.

Od religji, od zasąd Chrystusa Pana, *Zaranie* nas nie odrywa i nie oderwie.

Ale dziś, niestety, duchowieństwo nasze opanowała pycha, zazdrość, wyzysk i t. p., a są między nimi tacy, którzy właśnie przychodzą do nas w „odzieniu owczym, a wewnątrz są to wilcy drapieżni".

Wasza Excelencja w swym Liście pasterskim broni podwładnych sobie księży, ale my wiemy, czem oni bywają w parafjach; mówią inaczej, a czynią inaczej. Skoro jeden lub drugi po ukończeniu seminarjum wyjdzie na parafję, to z początku jest jaki taki, ale jak tylko opanuje go władza rubla, to już jest inny.

Stanowczo też powiadamy, że jeżeli duchowieństwo dzisiejsze nie zmieni kierunku swego myślenia i postępowania, to nastanie czas rzeczy nieprzewidzianych, że niejeden nie będzie miał odwagi wejść na ambonę, bo będzie czuł, że wszyscy dziwią się jego sumieniu, że widzą, iż w sercu jego mieszka fałsz i obłuda.

Wasza Excelencja w swym Liście pasterskim pisze: „zdawało się, że rzetelnie pracuje (*Zaranie*) nad oświatą i szerzeniem pożytecznych wiadomości; cieszyliśmy się z tego wszyscy i pomagaliśmy".

Zapytujemy, gdzie ta radość i pomoc była? Czyż nie było zaraz po wyjściu kilku numerów *Zarania* potępiającej to nasze pismo kurendy w *Kronice djecezjalnej*?

Dalej mówi Wasza Excelencja: „nie rzucamy klątwy, nie potępiamy szyderstwem i obelgą, niegodną imienia chrześcjańskiego; musimy błędy tępić, ale ludzi miłować".

A gdzież ta miłość jest? Gdzie ten brak rzucania szyderstw i potępienia? Wszakże się to nawet każe i woła, iżby „zaraniarzy" na pal wbijać (Czytaj o tym list z Turobina w Nr. 36 *Zarania*), każe się nie pozdrawiać zaraniarzy, nie podawać im ręki, nie pomagać w przygodzie, a może tak jeszcze... wydać na „świętą inkwizycję" — co?

Dalej czytamy w Liście pasterskim: „Kościół (to jest księża!) zawsze szerzył naukę..." A my pytamy, gdzie są skutki tej oświaty? Kraj w upadku, więzienia, jak nigdzie, przepełnione zbrodniarzami, czego nam cyframi dowiódł p. Konczyński; człowiek niepewny jest swego życia... więc cóż z tej Waszej oświaty? Kogo i jak ona oświeciła? Wielkich magnatów? duchowieństwo? A nauczyliście panów tak, że dziś ziemia polska przechodzi w ręce niemiecko-żydowskie, a chłop polski musi emigrować za morze. Fabryki w rękach żydów lub Niemców, a „oświeceni" magnaci wyjechali lub wyjeżdżają za granicę i wywożą z Polski pieniądze. A duchowieństwo nauczyło się zdzierać po 50 do 100 rb. za pogrzeby, po 10 — 25 za śluby, po pół do 1 rb. za chrzty, po 1,50 do 2 rb. za zapowiedzi; nauczyło się strzydz wełnę z owiec—ludu; nauczyło się prowadzić pańskie życie...

Prawda — znajdą się księża dobrzy, szlachetni, ale to bodaj na stu jeden. Do tego przywiodła Wasza nauka.

Woda w rzece przeciw prądowi nie pójdzie, tylko z prądem. Tak też przyszedł czas na nasz ciemny lud polski, że zniecierpliwiony złą opieką, własnym rozumem budzi się ze snu wiekowego.

Z hasłem „sami sobie" Lud-naród pójdzie szukając prawdy i miłości braterskiej, jakiej dał przykład Chrystus.

— Zarząd towarzystwa postąpił bardzo słusznie! — orzekła opinja publiczna: — oszczercy nie powinni być członkami instytucji, pretendującej do jakiejkolwiek roli w społeczeństwie.

Cóż jednak powie opinja, skoro się dowie, że autor inicjatywy w wykluczeniu jednego oszczercy z łona instytucji sam dość niedawno jeszcze dopuszczał się oszczerstw? że ich w następstwie w godziwy sposób nie odwołał, a mimo to na listę członków w *Tow.* został przyjęty?

Najgorszą atoli rzeczą jest to, że Tow. lit. i dz. powróciło znów do poprzedniej zasady stosowania rygorów dyscyplinarnych względem osób, stojących poza juryzdykcją instytucji.

Swiadczy o tym zatarg, sięgający granic skandalu, świeżo zaszły między Towarzystwem Lit. i dz. a Stow. Techników. Najwidoczniej pierwsza gorzka lekcja nie poskutkowała. Więc obecnie Tow. l. i dz. otrzymuje lekcję powtórną. List p. Drzewieckiego, zamieszczony w *Gaz. Warsz.* obarcza zarząd tow. lit. i dz. szeregiem tak poważnych zarzutów, że wobec nich ulec musi cała potęga „siódmego mocarstwa".

Groźba bojkotowania instytucji, korzystających z lokalu Stow. Techników przez *Kurjer Warszawski* imieniem *Tow. lit. i dz.* rzucona, napełnić musiała ogół najwyższym niesmakiem i oburzeniem; było to jakoby bluźnięcie w oczy publiczności cynizmem, okrzykiem moralnego wyuzdania: była to jakoby urągliwa przechwałka, że *Towarzystwo* w żadne skrupuły etyczne bawić się nie zamierza!

Cóż za potworna halucynacja nieomylności, żądzy panowania i zapędów terorystycznych!

Podczas stanu wojennego, zdarzało się nieraz, iż biurokracja za działalność mieszkańców domu czyniła odpowiedzialnym jego właściciela. Towarzystwo lit. i dz. uprawia zasadę tę samą, tylko stosują ją odwrotnie: za czyn gospodarza stawia pod pręgierz lokatorów!

Ano! wynalazek godzien opatentowania na użytek tej-że biurokracji!

Wirtuoz tandety.

Skąd czerpią materjał dla obrazów swych i artykułów nasze *ilustracje*? Skąd biorą dla nich treść? — Czy z zasobów umysłowych redakcji, czy ze spostrzeżeń dokonanych nad życiem. czy ze świadectw historji, lub wyników nauki?

Nie!

One czerpią wiedzę i natchnienie pełnymi rękoma — ze zbiorów fotografji.

Oto leży przed nami zeszyt ostatni Świata, poświęcony uczczeniu 250-ej rocznicy istnienia prasy polskiej. Na czele zeszytu widnieje odezwa redakcji, w której ta zapowiada obywatelom kraju doniosłość swego przedsięwzięcia.

Kapłani to powinni byli zbudzić w ludzie życie, a nie uczynili tego. Oni powinni byli zbudzić śpiące dziecię-lud, który spał długie wieki.

Otóż wyznajemy przed Waszą Excelencją całą prawdę, jak jest, i jaka przyczyna złego. Mamy nadzieję, że Wasza Excelencja nie będzie za to o nas w złej myśli, gdyż my byliśmy, jesteśmy i będziemy nadal wyznawcami (choć wyłączanymi) Wiary naszej, którą dał Chrystus Pan — wzór miłości i prawdy.

Można też i trzeba śmiało powiedzieć: niech nas Bóg strzeże od takiego dzierżenia przez kler ludu polskiego, bo znowu wszyscy musielibyśmy się położyć spać snem martwoty, i zmarnielibyśmy do szczętu materjalnie i moralnie, że jenoby kiedyś Prusak lub Niemiec wspominał nas, chodząc po naszych grobach, i powiedziałby: byli tu tacy, ale wyginęli, bo we śnie trzymani — spali.

Kończymy i oświadczamy: niech Wasza Excelencja wyda sto takich „Listów pasterskich" a my będziemy czytali *Zaranie* i każdego z braci namawiać będziemy, ażeby nietylko w każdej wiosce, ale i w każdym domu było, bo taka jest potrzeba ludu polskiego.

Prosimy inne pisma, ażeby ten nasz protest przedrukowały. W żadne polemiki wchodzić nie chcemy, bo nam na sercu prawda, praca i nauka, co daj Boże Amen.

Zaraniarze z Kaliskiego:

Tomasz Filipiak, Wit. Koźmiński, Izydor Tarnowski, Wł. Kosiński, Walenty Pres, Stefan Pietrzak, Zygm. Rosiński, Ignacy Choiński, Bolesław Siwek, Józef Czerwonka, Aleksander Nawrocki, W. Majewski, Kajetan Michalak, Teodor Koźmiński, Józej Kołodziejczyk, Ign. Witkowski, Łuc. Poniatowski, Nepomucen Dolak, Piotr Olek, Br. Borkowski, M. Nadolny, Romuald Świerczyński, Ant. Marcinkowski, Piotr Duliński, Paweł Strygała, Winc. Rogala, B. Grzejdziak, E. Łącki, T. Grochowski, Faustyn Rozkosz, Wawrzyniec Chrzanowski, A. Papieski, H. Kowalski, J. Ryszkowski, Wł. Baranowski, Paweł Chrostowski, Józ. Fortuna, Al. Michalczyk, Witalis Sokowski

Z dziejów czasopiśmiennictwa.

Gruntowne opracowanie dziejów czasopiśmiennictwa, — powiada p. Jan Kucharzewski w przedmowie do krótkiego rysu historycznego naszej prasy, [1] — powinno się oprzeć na źródłowym przestudjowaniu samych pism. Praca taka, podjęta siłami zbiorowymi, stanowiłaby ogromny wkład do historji naszej kultury i zarazem byłaby kardynalnym czynnikiem rozwoju i postępu dla naszej prasy. Nieznajomość swej własnej przeszłości jest wielką zawadą i brakiem dla tych, których zadanie polega na tym, aby rozświetlać teraźniejszość przed pokoleniem współczesnym, oraz przezornym okiem spoglądać w przyszłość".

Słowa powyższe należałoby wypisać gdzieś na widocznym miejscu, na liście najpilniejszych do spełnienia, najbardziej naglących zadań społecznych.

Przypadający w roku bieżącym jubileusz 250-letni istnienia prasy polskiej obudził niejakie zainteresowanie w kierunku ogarnięcia i zsyntetyzowania jej dziejów; niestety próby dotychczasowe mają charakter ułamkowy; zamykają się w pewnych okresach czasu, lub w pewnych granicach politycznych, i stanowią raczej suchy martwy wykaz setnych i tysiącznych imion, nazwisk, haseł, tytułów i mian, niżli obraz życia, które niegdyś pod tymi imionami i hasłami kipiało.

Taki również ułamkowy i encyklopedyczny charakter posiada praca pana Kucharzewskiego. Nie obejmuje publicystyki w Galicji, ani też w zaborze pruskim, i wogóle traktuje tylko o w. XIX. Jest bardziej wskaźnikiem badań, które w imię kultury przedsiębrać należy, niż ich wykonaniem. Autor oprowadza nas jakoby po muzeach i książnicach, gdzie pod pyłem przeszłości drzemią stosy druków starych, dokonywa ich klasyfikacji, czyni porządek, sprawdza inwentarz, atoli po za atmosferę muzeową nie wykra-

[1]) Jan Kucharzewski: „Czasopiśmiennictwo polskie wieku XIX w Królestwie, na Litwie i Rusi oraz na Emigracji". Warszawa — nakł. Gebethnera i Wolffa.

Przedsięwzięcie to nieladajakie: ma ono za zadanie „dać możliwie zupełny obraz rozwoju prasy w ciągu tego okresu... zsumować cały nasz dorobek na tym polu, od pierwszych zaczątków przed wiekami, aż po dzień dzisiejszy"... i t. d. i t. d.

— Zupełny obraz rozwoju... cały nasz dorobek kulturalny ostatnich lat 250-ciu, — podchwytuje pan Krzywoszewski, redaktor ilustracji, —och! nic łatwiejszego. To bagatelka! Co to dziś mamy? — Aha! środa: — na piątek będzie gotowe! Od czegóż są udogodnienia techniki? Wszak od pięciu lat, odkąd wprowadziliśmy płatne, ilustrowane reklamy barów, kabaretów, szantanów i jadłodajni, nikt zarzucić nam nie może, iż nie trzymamy ręki na pulsie społeczeństwa.

To rzekłszy, pan Krzywoszewski wydał rozkaz: „Gromadzić materjały!"

Natychmiast rzucono się do stosu albumów, gdzie ugrupowane wedle hierachji dostojeństwa, przechowują się najcenniejsze wizerunki i okazy ludzi, zwierząt i roślin: naprzód idą kardynałowie; potym osobne miejsce zajmuje dynastja cesarzy chińskich, dalej pretendenci do tronu portugalskiego, bezpośrednio niżej słynne kokoty i kurtyzany, z wieńcami lilji białych na głowie, a tuż pod nimi ulubione pieski wybitnych arystokratek polskich tudzież węgierskich, zaś obok tych-że możni i nieustraszeni rycerze Jackey-Club'u i Monte-Carla. Dopiero tam, gdzie kończą się sfery uprzywilejowane: arystokracja oraz jej psy i wyścigowce, bankierzy i automobile, świętokradcy i mordercy, defraudanci i oszuści, słowem to wszystko co ma prerogatywy rozgłosu, gwarliwości, atmosferę huku dokoła siebie i obręcz z ogni bengalskich, dopiero poniżej tej elity z kart albumu w redakcji Ś w i a t a wyłaniają się — dziennikarze, reporterzy tudzież inni mocarze siódmego mocarstwa, rycerze pióra, nożyc i gumy arabskiej. Oczywiście pierwsze miejsce w tym dostojnym szeregu zajmuje sama impreza pana Krzywoszewskiego: ten ostatni, pod względem stanowiska, rzec można, jest wybrańcem losu, stanowiąc przedmiot zawiści licznej czeredy swych hołdowników: oto usadowił się tuż u stópek bankiera B. w idylicznym sąsiedztwie rozkosznej Fifi, suczki hrabiego C. Całą grupę błogosławi wzniesieniem rąk ksiądz D. oparty na zgiętym grzbiecie pana E.

W mgnieniu oka spiętrzono stos niezbędnych podobizn; praca szybko cwałowała do końca.

Uszeregowano w ordynku wojskowym mężów pokaźnych i znamienitych: Antoni Donimirski stanął obok Sztarkmana, Dworzaczek przystał do wzrostu z Buchnerem, Makowiecki stanął pod rękę ze Straszewiczem, prócz nich Gorscy, Lewentale, Olchowicze, Rabscy. Życzliwym uśmiechem powitano wkraczające damy: pani Żmijewska oraz Lewentalowa wiodły panią Moszczeńską. Pani Lucyna Kotarbińska napróżno szukała męża, którego nieobecność zdumiewała zebranych, i po chwili dopiero przyłączyła się do grupy rozbawionych gości.

cza, w gwar okresów minionych nie sięga. Mistrzowska zwięzłość charakterystyki, bezstronna, życzliwa przychylność dla wszelkich przejawów ducha i żywy zmysł dla wahań energji społecznej w narodzie, — oto są główne zalety książki pana Kucharzewskiego. Książka ta jest rozszerzeniem artykułu, przeznaczonego do *Encyklopedji polskiej*, której wydawnictwo podjęła Akademja Umiejętności w Krakowie. Zwarta, niemal stłoczona, treściwość opracowania oraz względnie wązkie ramy tegoż wynikły tedy już z samego przeznaczenia pracy.

Umiejmy wszakże poprzestawać na sumie pracy dokonanej tam, gdzie chodzi o dobycie z pracy tej korzyści doraźnych, i nie zakładajmy rąk bezczynnie wówczas, gdy najdrobniejsza choćby iskra wiedzy rozjaśnia przed nami pole czynu, pole orjentacji życiowych.

W krajach, gdzie rozwój społeczny i narodowy jest procesem jednolitym i ciągłym, gdzie kultura stanowi organizm prasy samorządnej, każda faza historyczna zawiera w sobie wyniki usiłowań minionych, każda chwila dziejowa nosi w sobie streszczenie chwil ubiegłych; w krajach owych z oblicza chwili snadnie odczytać można pracę przeszłych pokoleń, bo ona na pracy tej, jako na fundamencie, się wspiera. W takiej np. Anglji, Niemczech lub Francji, historja realizuje się nieustannie w życiu; tam historją przesycony jest każdy dzień dzisiejszy, ponieważ na tle historji się rysuje, i niezwłocznie, samorzutnie do jej systemu się wciela. Słowem, każde obecne *dziś* bywa dalszym ciągiem minionego *wczoraj*: niekiedy wypływa zeń konsekwentnie tak, jak wniosek wypływa z przesłanek, czasem przeciwstawia mu się stanowczo, jak antyteza przeciwstawia się tezie, ale bywają to ogniwa tego samego łańcucha rozwoju, spojone wspólnością działań i oddziaływań.

Inaczej jest w Polsce, i to *inaczej* trwa już lat blisko sto pięćdziesiąt Kultura polska nie stanowi konsekwentnie ciągłego organizmu, ale pasmo poszarpanych prądów, ujętych często w łożyska różne, niekiedy rozbieżne. W ciągu jednego stulecia, po trzykroć rozpoczynaliśmy dzieło budowy społeczno-kulturalnej, i zawsze rozpoczynać musieliśmy na nowo. Stąd wywiązuje się tragiczna sprzeczność między Polską a Krajami Zachodu. My, Polacy, jesteśmy narodem najbardziej zachowawczym, najgłębiej wrosłym w przeżytki przeszłości, a jednocześnie najmniej ze wszystkich posiadamy zmysłu historycznego. Tłomaczy to się tym, iż mieszkaniec Zachodu wciąga w płuca swe historję wprost z oddechem, nieświadomie, miesza mu się ona razem z krwią w żyłach, przenika jego mózg pod czaszką, wrasta weń potęgą instynktu. Polak, natomiast, dokoła siebie, w życiu, w polityce, w środowisku społecznym dostrzega ciągłe *bezdziejowość*, bowiem wszelkie perspektywy historyczne przed nim zamknięto, na głucho je zaryglowano; dostrzega wszędzie sporadyczność, brak ciągłości w inicjatywie, w myśleniu, w czynie. Podobnie jak więzień, długo trzymany w turmie, traci poczucie przestrzeni, tak myśmy stracili poczucie historyzmu zjawisk w życiu zbiorowym Poczucie to krwawymi od nas odrywało się płatami, i zginęło w poniewierce na krzyżowym szlaku nieszczęść i kataklizmów. Już Napoleon kłamliwą złudą obłąkał cały naród, i w żelaznej rozbójniczej dłoni ścisnął jego serce, aby ofiarą krwi zczerwienić blednące słońce swoich zwycięztw. Od tej chwili ileż razy czarna rozwierała się przepaść między pokoleniem a pokoleniem, między *dziś* a *wczoraj*, między wysiłkiem narodu a zadaniami historji!

Ileż razy siła narodu spiętrzała się w piorunową kolumnę, rosła w nawalną burzę entuzjazmu, wiary i poświęcenia, aby rychło, nazbyt rychło! runąć w odmęt rozpaczy i gorszego nad rozpacz zniechęcenia!

(d. n.). *W. Rzymowski.*

Listy z Galicji.

XIV.

Sprawa ugody polsko-ruskiej. Konferencja posłów należących do t. z. prawicy narodowej. Konferencja prezydjów polskich klubów sejmowych. Kongres zjednoczonej żydowskiej partji socjalno-demokratycznej w Galicji.

W poprzednich listach wspomniałem już, że podolacy i narodowi demokraci, w prasie swojej zwalczali zaciecie ugodę polsko-ruską. Inne stronnic-

---

— Panie i panowie! — woła uroczyście Stefan Krzywoszewski, wprowadzając nową postać do salonu: — Mam zaszczyt przedstawić zgromadzeniu swój nowy tryumf, — imć pannę Rusałkę. Jest naga i głupia, niemniej, a może właśnie dla tego, jako symbol naszej redaktorskiej głowy, sądzę, że znaleźć się na tym zgromadzeniu powinna. A teraz baczność! za chwilę rozpoczynamy poloneza! Muzyka! Hej...

— Za pozwoleniem! — krzyknie ktoś nagle z najbystrzejszych członków redakcji: — omałośmy nie zapomnieli! na jakiż narazilibyśmy się skandal... Panie i panowie! wszechstronność jest hasłem dziennikarstwa: czyż nie tak? Uchwyciliśmy wasze cenne oblicza, to prawda! ale to jest dopiero jedna strona. Panowie, nam nie wolno zapoznawać strony odwrotnej, nie wolno jej pomijać pod grozą uchybienie kardynalnej zasadzie publicystyki. C z o ł o m y ś l a m i u p o j o n e, to rzecz ważna, jak chcą poeci, to szczegółik, nie przeczę, ciekawy, ale czyż wolno nam kryć w cieniu doniosłość *pleców*, czyż wolno skromnie chować swe *siedzenia*? Przenigdy panowie! Proszę raz jeszcze stanąć w szeregu! Tak... Teraz odwrócić się tyłem! Doskonale... Numer jubileuszowy Ś w i a t a już gotów!

Tak! jubileuszowy zeszyt Ś w i a t a jest już gotów!

Nie wierzycie? Zapytajcie się oń w kjoskach, kawarniach, iluzjonach lub fryzjerniach! A może bywacie czasem w salonie państwa Dulskich?... Tam Ś w i a t jest istotnie całym *światem* intelektualnym papy, mamy i potomstwa. Weźcie go do ręki, mimo pogardy. Przekonacie się, że nie jest przesadą to, co wyżej powiedziano. Przekonacie się, że w zarysie jubileuszowym czasopiśmiennictwa polskiego pominięto wprawdzie całkiem prasę ludową i socjalistyczną, wprawdzie tygodniki społeczno-naukowe, polityczne i literackie, w których zdawna ogniskował się w Warszawie ruch umysłowy, zbyto kilkowierszową wzmianką, nadomiar błędną, ale wzamian za to na widok publiczny odsłonięto o b i e s t r o n y [1]) sześciu redaktorów najpopularniejszych pism codziennych w Warszawie.

Szych i tandeta, powiecie: tak! istotnie. To jest pierwsze wrażenie. Lecz przy bliższym wejrzeniu przekonacie się, że jest to szych, ale luksusowy, tandeta, ale do wirtuozji posunięta.

Jeśli chodzi o pracę sumienną, o wykończenie subtelne, skromne, ale w całym tego słowa znaczeniu poważne, to przyznać musimy, że i te żywioły w *Świecie* pana Krzywoszewskiego mają przytułek, ale szukać ich trzeba poza właściwym programem pisma, w dziale ilustrowanych ogłoszeń. Tam pracują najrzetelniejsze pióra, w usłudze przemysłu nietylko polskiego, ale i rosyjskiego. Tam ścisłość, dokładność i precyzja idzie w zawody z pełnią i bogactwem oświe-

[1]) Autentyczne! Patrz N-r 42 „Świata“, str. 4.

twa choć w gruncie rzeczy były i są za nią, niezdecydowały się jednak wystąpić energicznie w jej obronie. (Wyjątek pod tym względem stanowi tylko Pol. Str. Post.). Okoliczność ta podrażniła Rusinów. Klub ich wiedeński powziął rezolucję zaprzeczającą wieściom o rozpoczęciu układów ugodowych i stwierdzającą, że nie są one aktualne. Rezolucja ta wywołała, w pewnych kołach polskich, niezadowolenie, chociaż, ze względu na wskazaną wyżej okoliczność, jest ona objawem zrozumiałym i naturalnym.

Nie należy jednak sądzić, że ugoda została faktycznie zaniechana. Sam fakt, że reforma wyborcza do sejmu jest na porządku dziennym, że do przeprowadzenia jej zgoda Rusinów jest konieczna—zmusza do wszczęcia rokowań ugodowych...

Dnia 14 października odbyła się narada posłów sejmowych należących do prawicy narodowej (stańczyków i podolaków). Okazało się, że podolacy, w ogromnej swojej większości, postanowili zaprzestać walki z namiestnikiem, Intrygi panów Starzyńskiego i hr. Stadnickiego nie osiągnęły celu. Poseł Starzyński widząc swoje odosobnienie, uczuł się dotknięty i postanowił wystąpić z prawicy narodowej. Podobno posłowie konserwatywni usiłują go skłonić do pozostania.

Konserwatyści nie oświadczyli się w całości za projektem reformy wyborczej posła Starzyńskiego, niezawodnie jednak będą obstawali przy jego wstecznych punktach.

W dniu następnym 15 października odbyła się konferencja prezydjów polskich klubów sejmowych w sprawie reformy wyborczej.

Poseł Rutowski wskazał na konieczność pertraktacji z Rusinami, którzy naogół są nastrojeni pojednawczo. Na zebraniu był obecny i namiestnik; marszałka zatrzymała w domu choroba. Omawiano reformę wyborczą. Żadnych jej dotyczących uchwał nie powzięto.

Postanowiono wybrać komitet, który ma się zająć tą sprawą i w ciągu dni 10-ciu opracować odpowiednie wnioski.

Namiestnik zrobił parę zastrzeżeń w sprawie reformy wyborczej nie rozwijając ich szczegółowo. Całe zebranie odbyło się dość nieporządnie. Czuć było, że ci co w nim biorą udział, nie wierzą, aby obrady mogły dać jakiś pozytywny rezultat.

Konserwatyści radziby zapewnić sobie, przy reformie wyborczej, korzystne załatwienie dla wielkiej własności ziemskiej (połączenia obszarów dworskich z gminami. Podolacy i narodowi demokraci radziby, przy bardzo niedostatecznej reformie wyborczej, rozszerzyć autonomję krajową, co nieda się uskutecznić bez ugody polsko-ruskiej.

Wogóle łączenie z reformą wyborczą kwestji autonomji i reformy administracyjnej gmatwa tylko sprawę.

Pomimo zaprzeczeń sprawa rozwiązania sejmu dojrzewa coraz bardziej. Staje się ona poprostu koniecznością.

Dnia 14 i 15 października obradował kongres zjednoczonej żydowskiej partji socjalno-demokratycznej w Galicji.

Przed ostatnimi wyborami do parlamentu, nastąpiło połączenie się żydowskiej partji socjalnej (stojącej poza polską i ruską) z oddziałem żydowskim polskiej socjalno-demakratycznej partji Galicji i Śląska. Połączenie to było koniecznością i oznaczało: 1) skonsolidowanie się w jedną całość proletarjatu żydowskiego, 2) zbliżenie się partji żydowskiej do polskiej przy zachowaniu samodzielności pierwszej. Ustawa organizacyjna pozwala im jednak czasowo pozostawać w polskiej partji.

Praktyka pokazała, że do chwili obecnej proletarjat żydowski w Galicji stanowi odrębną całość kulturalno-ekonomiczną, praca wśród którego wymaga specjalnej techniki działania.

Żydowska partja socjalno-demokratyczna nie przesądza z góry ukształtowania się w przyszłości stosunków narodowościowych. Liczy się natomiast ze stanem ich obecnym.

Poseł Daszyński, powitany serdecznie przez delegatów zjazdu, wygłosił znamienną mowę, w której zaznaczył, że uznaje odrębność partji żydowskiej, sądzi jednak, że siłą rzeczy, socjaliści-żydzi w sprawach ogólnych iść będą solidarnie z socjalistami polskimi, licząc się z tym, że stanowią mniejszość proletarjatu.

Daszyński nadmienił, że tarcia jakie były poprzednio pomiędzy przedstawicielami proletarjatu polskiego i żydowskiego wynikały nie ze złej ich woli, lecz z trudności obiektywnych.

Samodzielny ruch robotniczy żydowski w Galicji nie oznacza separatyzmu i nacjonalizmu, jest on tylko objawem nowego, dostosowanego do potrzeb miejsca i czasu, ugrupowania się kół robotniczych w Galicji, usuwającego niepotrzebne tarci i antagonizmy.

Ludwik Kulczycki.

---

tlenia przedmiotu. Nie dziwmy się przeto, że dzieje prasy polskiej doznały uszczerbku, że nie umiano ich ogarnąć. Redakcja właśnie w tym czasie zajęta była gdzieindziej: zwiedzać musiała w Moskwie fabryki perkalików p a n ó w R j e z a n o w a i P r o c h o r o w a, ażeby im obu poświęcić studjum o rozmiarach bardziej imponujących, niż to wszystko, co powiedziano w tym że zeszycie o najzasłużeńszych przedstawicielach prasy polskiej.

„Ćwiartka papieru" — pana Dobrowolskiego.

Gdy mówi ślepy o kolorach, ludzie się śmieją lub kiwają głowami z politowaniem. Gdy zaś p. Dobrowolski pisze o teatrze efekt jest tak wielki, że ludzie rozumni dostają płaczu z rozrzewnienia! Cóż to bowiem za poczciwiec i w dodatku elegant! Dosyć przeczytać jego świetną recenzję o „Ćwiartce papieru", aby się przekonać, że ten „francuz północny" powinien był zostać właściwie mistrzem dworu hiszpańskiego, czyli kamerdynerem Alfonsa XIII, gdzie wykwint dworski, etykieta i ludzie prawdziwie „dobrze wychowani" stworzyliby nareszcie odpowiedni nastrój „świeżego powietrza" dla naszego krytyka, który nie może bez wstrętu przebywać w *stęchłym powietrzu współczesnych utworów scenicznych.* W tej bowiem arcy świetnej sztuce, która „nie poszerza głębin życia nie zagląda w duszę, aż na samo dno jej przepaści" jednak tyle mieści się „właściwości artystycznych"(?) tyle subtelności djalogu, że „w towarzystwie tych gentlemenów każdy widz czuje się jak na balu!"

Czy wobec tej szczerości teatralnego krytyka *Kurjera Warsz.* można się dziwić, że publiczność też nie lubi „głębin życia". Czyż można mieć pretensje do poczciwego, dobrego i na wskroś teatralnego tłumu za jego płytkość, jeśli opinje o sztuce wydają ludzie w rodzaju p. Dobrowolskiego?

Ów pan sądzi, iż gentlemaństwo polega na kulcie płytkości i zachwytach dla rzeczy bezmyślnych.

I niechaj się nimi zachwyca. Są to zachwyty kopciuszka, którego zadaniem właściwym byłoby oddzielanie owsa od pszenicy, jak głosi słynna baśń ludowa. Tylko, że kopciuszek był szlachetny i skromny i nie wyklinał tego, czego nie rozumiał.

W Rosji.

Po tragicznym zgonie premjera, w Rosji daje się zauważyć pewna dążność do reform, dążność wielce znamienna. Przedewszystkim prąd ten ujawnił się w kierunku reform tych systemów i tych instytucji, które bezpośrednio stały się przyczyną katastrofy, więc — zreformowanie ochrany, o której najostrzejszą i najbezwzględniejszą opinję wypowiedziała prasa nacjonalistyczna i półurzędowa. Z roli ochrany, jaką odegrali w państwie i z jej charakterystyki w publicystyce rosyjskiej, wreszcie z tych licznych faktów wydobywanych tak szczodrze z przeszłości niezbyt odległej przez prasę rosyjską, mimowoli wysnuwa się paralela historyczna, sięgająca do pretorjan lub do względnie bliższych czasów: do opryczników. Dziś, zarówno rząd jak i opinja publiczna rosyjska stwierdziły niebezpieczną obosieczność tego systemu.

Jednocześnie wzbiła się wysoko i silnie spieniła fala reakcji nacjonalistycznej, która nowemu premjerowi dyktuje warunki i podsuwa środki obrony rządu i narodu. Program ten, wielce znamienny doręczonym został p. Kokowcowowi. Memorjał opracowała komisja specjalna, do której weszli tacy posłowie Dumy, jak: Puryszkiewicz, Zamysłowskij, prof. Kuplewskij oraz pp. Rażenow i Garjazin. Memorjał zaleca unieszkodliwienie i ubezwładnienie *inorodców* najniebezpieczniej-zych, jak Polacy, Finlandczycy i żydzi. Wielce charakterystyczne są uwagi, wypowiedziane w III-ej części memorjału, dotyczącej kwestji polskiej.

„Zaznaczyć przedewszystkim należy—głosi memorjał — że idea „jagiellońska" — idea państwowości polskiej i nienawiść do wszystkiego, co rosyjskie w ostatnich czasach bynajmniej nie osłabła śród polaków. Konieczność zabezpieczenia rosyjskiej Chełmszczyzny od ostatecznego spolonizowania występuje coraz ostrzej, w miarę tego, jak ta sprawa pilna podlega coraz nowej odwłoce. Na stanowisko duchowieństwa rz.-katolickiego prowokacyjne i wyraźnie wrogie dla rządu rosyjskiego, niemal nic nie oddziałało usunięcie przez rząd niektórych, zresztą bardzo nielicznych jednostek z duchowieństwa tego, nastrojonych najbardziej wrogo. Potrzebne więc są środki bardziej stanowcze"...

„Zrazu katolizacja, a następnie spolszczenie chłopa białoruskiego odbywa się w dalszym ciągu wobec władzy za pomocą zależności ekonomicznej tego chłopa od rolników—polaków".

Dalej memorjał przechodząc do kwestji finlandzkiej radzi bez nadmiernego przewlekania, dążyć do państwowego zjednoczenia Finlandji z Rosją rdzenną.

Co do sprawy żydowskiej memorjał wymaga bezwzględnych i surowych represji zarówno w życiu ekonomicznym, jak kulturalnym i duchowym.

Narzucanie systemów i rad sternikom państwa nie jest rzeczą nową. Podobne rady i żądania reform otrzymał również Stołypin, jak np. głośny znamienny projekt Tichomirowa, który domagał się zwalczenia ruchu rewolucyjnego drogą dokonania zupełnego przewrotu państwowego.

Nacjonaliści pragną rozszerzyć zakres działalności opryczników dawnych i objąć wszystkie gałęzie gospodarki państwowej. Świadczy o tym ich postawa, zajęta natychmiast po katastrofie kijowskiej. Przedewszystkim wystąpili oni w charakterze naczelnych kontrolerów wymiaru sprawiedliwości, zapragnęli asystowania przy wykonywaniu wyroku śmierci na Bagrowie, ażeby się przekonać naocznie, czy wyrok śmierci będzie rzeczywisty, czy fikcyjny. Kontrolerem tym, wraz z innymi był p. Sawienko. Nacjonaliści, wraz ze związkowcami korzystając z zamieszania, objęli władzę i zdobyli sobie bezwzględne posłuszeństwo. Pozwolono im kontrolować wykonanie śmierci, wbrew przepisom ustawy o traceniu przestępców. Gdy władze w Kijowie straciły narazie głowę, nacjonaliści związkowcy przybrali postawę wprost rewolucyjną, wyrażali votum swej nieufności, żądali tłómaczeń i wyjaśnień. Byle związkowiec w życiu codziennym podwładny szefowi danej instytucji, rozkazywał mu i zdobywał jego bezwzględne posłuszeństwo, jako działacz polityczny.

Atak na premjera za pomocą memorjału jest poniekąd aktem woli nacjonalistów i związkowców; jest zarazem wytknięciem drogi, po której ma kroczyć nowy kierownik. Czy pójdzie po niej?

O polityce p. Kokowcewa różnie mówią: nie zdołano wszakże całkowicie skrystalizować jego aktu wiary politycznej, bo przezorny premjer nic urzędowo nie obiecuje i nic nie zapowiada. Mówią o nim, że jest konserwatystą oświeconym, że jest bardzo blizkim poglądów prawicy Rady państwa; według zaś wywiadu p. XXX, współpracownika *Tempsa*, okazuje się, że Kokowcow nie ma powodu do zmiany dotychczasowego systemu polityki, że się tylko może różnić od poprzednika w wyborze środków, że pod jego rzą-

---

8)

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

FATALNE MIŁOSIERDZIE.

(Ciąg dalszy).

— Pamiętam tylko to, co było dobre i radosne i niech mi pani wierzy, — dodał, nie puszczając jej dłoni, — że z góry wybaczam Janowi wszystko. . Miłość jest jak śmierć i nie zna kompromisów...

Jan, który niespodziewanie stanął w progu, słyszał to ostatnie zdanie i pobladł ze wzruszenia.

— Nie ty Andrzeju wymyśliłeś ten aforyzm — rzekł. — Powiedział już go kiedyś Salomon. Lecz może za stanowczo twierdzisz, że nie zna kompromisów... A jeżeli tak jest, to może powinna znać. Jak sądzisz?... Może wobec przyjaciela, który starał się zawsze być dla ciebie... uprzejmy... ty... będziesz dla niego trochę względniejszy... i przestaniesz pod jego własnym dachem... romansować z jego żoną!...

— Janie! — zawołał poeta, jak uderzony obuchem — Janie, jak możesz tak mówić! Czy nie widzisz, że wszystko czynię, co mogę, aby ci zejść z oczu, abyś nie miał cienia przypuszczeń. Czy to wszystko ci nie wystarcza?! Czy chcesz koniecznie, abym wrócił do mojej dawnej nędzy?!...

— Ja widzę, że listy panny Braumann nie były tylko wymysłem, bo oto przed chwilą, wszedłszy niespodziewanie, zastałem was w czułym sam na sam — odpowiedział Jan, udając spokój. — Ale o to nie chodzi na razie! Ja tylko nie mogę pozwolić, aby się ze mnie wyśmiewano. Mąż z rogami nie wygląda zabawnie. Wy o tym wiecie dobrze, gdyż napewno żadne z was nie pragnie być oszukanem.

— Jesteś, jak zawsze, niesprawiedliwy — zawołała drżącym z oburzenia głosem pani Emilja. — Pan Andrzej właśnie przed chwilą wyrażał się o tobie z najwyższym uznaniem. A zdanie o miłości było powiedziane z racji twojego uczucia do mnie.

— Więc niech przestanie o mnie mówić — zawołał gwałtownie Jan. — Ja nie chcę obrony człowieka, który tak prędko zapomniał, że niczem nie zasłużyłem na jego niewdzięczność! Ja mam ciebie jedną, jesteś mi droższa nad wszystko na świecie i ten

dami polityka będzie nie nacjonalistyczna, lecz „narodowa". Co do kwestji polskiej, rząd rosyjski pragnie „pomówić"z polakami. Tak przynajmiej twierdzi *Temps*.

O wiele wyraźniej przyszłą polityka p. Kokowcewa określają i charakteryzują publicyści rosyjscy. Hr. Uwarow w gaz. *Utro Rosji* pisze: „P. Kokowcow nigdy nie ukrywał, że uważa za niewłaściwe zastosowanie artykułu 87-go w przeprowadzeniu prawa o ziemstwie zachodnim. W sprawie tej w marcu r. b. był daleko bardziej zdecydowanym od mówcy ze stronnictwa kadetów Makłakowa".

Co do sprawy chełmskiej, — „wątpliwo zali jest jeszcze dla kogokolwiek tajemnicą, że Kokowcow nigdy nie żywił specjalnej sympatji dla ulubionego „konika" biskupa Eulogjusza i hr. Włodzimierza Bobrińskiego. I ogólnie, jak się zdaje, wątpliwym jest bardzo, czy nowy prezes Rady ministrów podziela argumenty swego poprzednika o rzeczywistej konieczności stworzenia odrębnej guberni dla biskupa Eulogjusza".

Tymczasem zaś, autor przewiduje, że przebieg rozpraw parlamentarnych może zniewolić prezesa Rady ministrów do wyłuszczenia swych poglądów w tej sprawie. P. Kokowcow niewątpliwie będzie szczerym i nie zechce swych zapatrywań ukrywać, a wtedy śród prawicy powstanie gwałtowna burza.

Bądź co bądź jesteśmy w przededniu chwili bardzo ciekawej i zapewne silnie burzliwej.

Zenon Pietkiewicz.

BADANIA NAUKOWE.

Oligarchiczne dążności w demokracji współczesnej.

2)

(Ciąg dalszy).

Przywódcy zagarniają w swe ręce kierownictwo prasą partyjną. Prasa jest potężnym organem do zdobywania i wzmocnienia panowania nad masą. Nadaje się najlepiej do głoszenia sławy przywódców, popularyzowania ich nazwisk, narzucania poglądów, do utwierdzania ich autorytetu. Ci także uzależniają od siebie materjalnie cały legion literatów, strzegąc czujnie by który z nich nie odważył się pisać w duchu nie aprobowanym przez najwyższą instancję.

Swoboda myśli i słowa staje się fikcją.

Na kongresach utrąca się bezwzględnie wnioski nie odpowiadające interesom najwyższej instancji, wszelką krytykę taktyki przez nią narzuconej uważa się za zdradę interesów partyjnych. Środków do poskromienia takich „zuchwalców" jest wiele. Albo wykluczą go z partji, albo ogłoszą warchołem, zdrajcą lub tak sprytnie manewrują *porządkiem dziennym*, by wniosek nie ujrzał światła *dziennego*. By mieć zaś przedstawicielstwo sobie oddane polecają kandydatów na kongres przedstawiać sobie do zatwierdzenia.

Zdawałoby się, że system wolnego wyboru naczelnictwa partyjnego uniemożliwia zagarnięcie władzy w ręce kilku jednostek.

Wszak masa może niepożądanych przywódców dowolnie zmieniać. W praktyce jednak ta wszechpotęga masy nie istnieje. Z chwilą powstania przywódców zawodowych, zaczyna się wśród nich przejawiać tendencja do zamknięcia się w ściśle opierścienioną kastę.

Zasada prawdziwej demokracji wymagałaby nie zbyt długiego pozostawania jednostki na stanowisku kierującym. Jednakże, by urzędnik mógł się należycie ze sprawami partyjnymi zapoznać, by mógł się im szczerze oddawać, musi być pewny, że pozostanie długi czas na danym stanowisku. Z ciągłej zmiany swych funkcjonarjuszy odniosłaby partja tylko szkodę, gdyż skarbu doświadczenia, który starzy posiadają, nie mogliby tak prędko nabyć nowicjusze. Liczne przykłady tego faktu widzimy w niemieckiej socjal. dem. gdzie starzy wodzowie, w rodzaju Bebla, piastują przez dziesiątki lat swe naczelne stanowiska.

Jednakże współzawodników nie brak w żadnej organizacji. Gnani osobistą ambicją, czy korzyścią materjalną walczą pomiędzy sobą liczne zastępy rywali o zdobycie naczelnych stanowisk. Powstają opozycje, roznamiętnia się walka. Przywódcy opozycji, występując zawsze pod hasłem zagrożonej czystości zasad partyjnych, pociągają za sobą mniejsze lub większe odłamy masy, suggerując im, że to w ich interesie wszczyna się walka opozycyjna. Tendencje decentralistyczne ścierają się namiętnie z centralizmem biurokracji partyjnej, a rezultat walki względny. Niekiedy opozycja odrywa się zupełnie od pnia macierzystego i proces rozwojo-

---

kto przychodzi nie zabrać cię, bo przedtym musiałby mnie zabić, ale osłabić mój stosunek, odsunąć cię odemnie — jest moim wrogiem, bo życzy mi śmierci!

Poeta był śmiertelnie blady, wstał i zaczął drżącymi rękoma zapinać marynarkę, prawie nie wiedząc, co robi.

— Janie — szepnął. — Bóg mi świadkiem, że nie jest tak, jak przypuszczasz, ale nie czas na wyjaśnienia. Cokolwiek powiem — nie uwierzysz. Dlatego przyjm jeszcze raz moje podziękowanie za to, coś uczynił dla mnie dobrego — i bądź zdrów.

Skinął głową i skierował się ku wyjściu.

— Dokąd pan idzie? — zapytała z lękiem p. Emilja.

— Tam, dokąd powinienem.... Ja istotnie nie mam powodu... być niewdzięcznikiem i zapomnieć o dobrodziejstwach Jana. To jedno, co mogę dla niego uczynić, to robię: usuwam się na zawsze!...

Głos mu zadrżał, prawie z rozpaczą spojrzał na przyjaciela. Ale Jan milczał! Poeta westchnął i szedł ku drzwiom. Wtedy Jan, pobladłszy lekko, zatrzymał go ruchem ręki.

— Andrzeju — szepnął i urwał w wielkim zakłopotaniu, a spuszczając oczy, dodał jeszcze ciszej: — Weź 100 rubli na pierwsze potrzeby!

Poeta uśmiechnął się boleśnie.

— Dziękuję ci, ale wystarczą mi te pieniądze, które posiadam.

I wyszedł, nie obejrzawszy się za siebie...

Tego dnia Jan i pani Emilja nie zamienili z sobą ani jednego słowa.

* * *

Andrzej wynajął sobie pokoik „przy familji", umeblowany „skromnie ale gustownie", za który płacić miał zgoła nieskromnie — bo 25 rb. na miesiąc. Tymczasem po rzuceniu Jana cały majątek poety składał się z 30 rb., pozostałych ze stu, wziętych za tom. Dał więc zadatku 10 rb., obiecując resztę dopłacić za kilka dni, a sam zaczął biegać po redakcjach.

O ile sądzić można, jest to jedna z najboleśniejszych czynności i najbardziej wyrafinowana tortura moralna nowych czasów. Nieznany poeta, przychodzący do redakcji ze zwojem swoich wierszy lirycznych jest witany niechętnym okiem woźnego, który się nie może spodziewać dziesiątki, sekretarza, który za walony pracą, drży na myśl, że będzie odczytywał

wy oligarchji przywódców rozpoczyna się na nowo; niekiedy zaś naczelnictwo partyjne zwabia sprytnie w swe szeregi najniebezpieczniejszych opozycjonistów, powiększając kadry elity partyjnej.

Poczucie władzy napawa jednostkę rozkoszą, podnosi godność jej własnego „Ja".

Zazwyczaj też przywódca nie umie oprzeć się chęci utożsamienia partji z własną osobą. Partja to ja. Stąd bezgraniczny despotyzm w stosunku do najmniejszej opozycji, stąd identyfikowanie ataków skierowanych przeciwko sobie z atakami na partję, stąd potrzeba ubóstwiania przez masy, stąd to poczucie, że się jest niezbędnym dla mas, stąd ta dumna groźba porzucenia szeregów partji nie chcącej się ugiąć przed wolą przywódcy; masa zaś jest skłonną do najdalszych ustępstw na rzecz przywódcy byle tylko nie wybierać nowych. Dzięki tym wszystkim okolicznościom tworzy się warstwa arystokracji partyjnej składająca się z przywódców. Równocześnie zaś dokonywa się u przywódców proces przemiany psychologicznej.

Funkcja długiego kierownictwa masą wywiera na moralny charakter wodzów wpływ niekorzystny. Agitator robotnik wyniesiony na posadę urzędnika partyjnego to już nie ten proletarjusz z czarnymi rękoma i zasmarowaną bluzą, to już „burżuj", który odbiegł daleko od psychologji warstwy, z której wyszedł. Poziom wykształcenia, materjalna wyższość, nowe formy życia zbliżają go silnie do namiętnie niegdyś zwalczanej burżuazji. Duch jego drży na myśl, że dzięki jakiemuś niezręcznemu krokowi mogłaby jego obecna pozycja usunąć mu się z pod nóg. Unika wszystkiego coby na partję mogło ściągnąć prześladowania, zniszczyć jej potęgę, a jego strącić z powrotem w szeregi proletarjatu. Dawniejszy fantasta rewolucyjny przesiąka ideałami drobnomieszczańskimi.

(d. n.). *Franciszek Dorosz.*

Mnichy i Papieże.

Emile Gebhart: „**Moines et Papes**".

W dziejopisarstwie, obok różnic, wynikających z natury badanego przedmiotu, stanowczo uwydatniają się jeszcze różnice, zależne od temperamentu badaczy. Przez temperament rozumiemy tu nietylko swoistość budowy umysłowej, ale i całokształt popędów i odruchów uczuciowych, słowem, tę szczególną *ciekawość* serca i rozumu, która sprawia, iż człowiek nieprzeparcie lgnie ku pewnym zjawiskom, gdy od innych się odwraca, lub pozostaje zdaleka.

Właściwie, w tym samym zjawisku każdy szuka innej prawdy; na dnie tych samych zdarzeń każdy inną przeczuwa tajemnicę; a jeśli nawet owe poszczególne, ułamkowe odkrycia złożą się się kiedyś na budowę wspólnej wielkiej prawdy, to i wtedy zgodzić się trzeba, że każdy umysł własną obiera drogę ku tej prawdzie, u której wszystkie drogi się schodzą, że, tedy, meta może być wspólna, niemniej punkty wyjścia są różne i odmienne.

Henryk Poincaré, w dziedzinie twórczości matematycznej, rozróżnia dwa przeciwne sobie typy umysłów: *analityków* i *syntetyków*. Gdy pierwsi operują przeważnie pojęciami stosunków, czując się wybornie w sferze abstrakcji, ostatni, dla skuteczności myślenia, posługują się, natomiast, obrazami zmysłowymi. Pierwsi, drogą ścisłego rozumowania, posuwają się krok za krokiem, nie pozostawiając nic na los przypadku; syntetycy zaś, powodowani intuicją, od jednego zamachu obejmują w posiadanie rozległe dziedziny, aczkolwiek nie zawsze bywają zdolni je utrzymać,

Ten sam podział da się usprawiedliwić również w historjografji. Analiza oraz intuicja — oto dwa zasadnicze narzędzia poznania, rzec można, dwa narządy poznawcze umysłu ludzkiego. Cóż więc dziwnego, że elementarne ich przeciwieństwo legło u podstaw najpowszechniejszego i najbardziej zasadniczego podziału tworów pracy naukowej?

Historyk, o skłonnościach umysłu analitycznych, pracowicie gromadzić będzie szczegóły, piętrzyć będzie tysiączne znamiona epoki, celem jej odtworzenia, ale będą to znamiona ogólne, szczegóły martwe, które w żywą jednolitą całość nigdy się nie zrosną. Analityk chętnie opiera się na statystyce, goni za liczbami i, z ich pomocą, układa sieci praw powszechnych, próbując złowić w nie wymykające mu się wciąż fakty konkretnej rzeczywistości. A wszystkie fakty historyczne wydają mu się czymś nakształt okazów muzeowych; patrzy na nie jak na rośliny zaschłe w zielniku, których martwa suchość właśnie pozwala mu zapomnieć, że niegdyś, pełne soków, żyły i rosły bujnie pod słońcem. W oczach analityka przeszłość nabiera cech znieruchomiałego spokoju; dąży on do ujęcia statystycznego przekroju zdarzeń dziejowych, więc z konieczności wszelka mieniąca się barwność życia znika

---

nie zawsze poetyczne gryzmoły i samych współpracowników, którzy znów boją się, aby nieznajomy nie miał rzeczywiście talentu. Dlatego każdy na swój sposób stara się obrzydzić debjutantom podobne występy. W rezultacie wszystkie te zabiegi, chodzenia, posyłania kończyły się dla Andrzeja fatalnie.

Nasłuchawszy się morałów, rad, zapewnień przyjaźni i życzliwości dla „młodych talentów", nabrał przekonania, że nigdy nie wydrukuje swego wiersza w żadnym piśmie warszawskim. Przestał więc niepokoić ludzi, „trzymających rękę na pulsie opinji publicznej"—i zamknął się w mieszkaniu, żyjąc nad wyraz oszczędnie! Pragnąc oszczędzić pieniędzy, których się nie spodziewał prędko (jedyną nadzieją była kondycja, której termin się zbliżał) — jadał tylko dwa razy dziennie — koło południa i wieczorem. Każdą wolną chwilę, a miał ich bardzo wiele, poświęcał na rozmyślania. Tak jak dawniej, leżał godzinami, patrząc w jeden punkt na suficie, oddany cały marzeniom, lub wspomnieniom, które go żarły coraz straszliwiej. Poeta, przypomniawszy sobie te chwile wesołe, spędzone radośnie wespół z Janem, kiedy to razem, ze śmiechem siadali do stołu, przekomarzając się z panią Emilją — uczuwał przeszywający ból w piersiach. Starał się o tym nie myśleć — nie mógł. Słyszał dźwięczny głos młodej kobiety, widział jej subtelny, blady profil. Wszystkie pamiętne sytuacje łagodnego spokoju, w chwilach jego największego smutku, przesuwały mu się przed oczyma w szyderczym korowodzie. Poeta cierpiał niewypowiedzianie. Jego wrażliwa natura nie mogła przenieść tej zmiany fatalnej bez tragicznego smutku... Rozpacz żarła go, dławiąc za gardło jak dłonią obłąkanego. Były chwile, kiedy myślał o samobójstwie, nie mogąc przenieść tęsknoty, idącej obłędną falą wspomnień, od dawnych chwil, przeżytych w szczęściu.

Raz, leżąc na otomanie, usłyszał dźwięki fortepianu. Był zmierzch i cały pokój tonął w wieczornej ciszy. Andrzej aż usiadł, słuchając znajomych, kochanych tonów Schumanowskiego *Warum*? Ktoś grał w sąsiedztwie tak samo, jak p. Emilja. Poecie zdawało się, że siedzi, zagłębiony w fotel i słucha jej, że widzi jej cudną, bladą sylwetę, jak zdjętą z witraża kościelnego i zatrząsł się z przerażenia.

C. D. N

z pola jego widzenia, pozostają zaś jedynie minionego bytu — skamieniałości.

Inaczej działa historyk, obdarzony intuicją i dążący do zsyntetyzowania materjałów dziejowych w jednolitym obrazie życia. Uwaga jego ogniskuje się wokół typu psychicznego w każdym okresie dziejowym. Wszelkie zagadnienia, związane z rozumieniem pewnej epoki, sprowadza on do zagadnień psychologicznych. To też nie statystyka lub archeologja, ale psychologja właśnie otwiera mu drogę do wnętrza epok minionych.

Tej metodzie psychologicznej hołduje Emil Gebhart. Swe dociekania historyczne nazywa on próbami *psychologii historycznej*. Oblicza i charakteru epoki doszukuje się on na obliczach ludzi, epokę tę reprezentujących. Nie wystarczają mu ogólne formuły, ujmujące stosunki i wahania życia społecznego, — dotrzeć on usiłuje do granic konkretności i przeszłość minioną dźwignąć chce przed oczy, jako wizję dramatu, w którym interesy oraz namiętności ludzkie ścierają się ze sobą w ustawicznej walce. Siły i żywioły społeczne bada on nie w stanie pokoju i równowagi, pozwalającej na ścisłość rachuby i oceny, ale w stanie płynnej, nieustannej ciekłości, którą chwytać trzeba migawkowo, w postaci pewnych charakterystycznych obrazów, rzucających światło na cały okres, lub pewnych indywidualnych rysów, streszczających w sobie rysy zbiorowe całego stulecia.

Czynniki zewnętrzne, pozaludzkie, interesują Gebharta tylko o tyle, o ile biorą udział bezpośredni w kształtowaniu psychiki ludzkiej. A więc warunki fizjograficzne, klimat, powierzchnię lądu lub rodzajność gleby uwzględnia on jedynie jako wpływy, które odcisnęły swe piętno na charakterze społecznym mieszkańców. Stan ekonomiczny, stopień dobrobytu, oddziaływanie środowiska, wszystko to ma dlań znaczenie niezaprzeczone, jak również forma rządu i ustrój polityczny; wszystkie te czynniki bierze on pod uwagę przy rozpatrywaniu typu psychicznego danej epoki. Atoli czynniki owe śledzi on nie same w sobie; bada je nie w ich istnieniu i działaniu bezosobistym, po za jednostką, po za wolą i świadomością ludzką, ale właśnie jako składniki organizacji duchowej człowieka.

Świat zewnętrzny, zarówno świat przyrodzenia, jak świat społeczny, podlega badaniom historycznym Gebharta jedynie jako odbicie, odciśnięte na psychice pewnych grup ludzkich, podlega o tyle, o ile w psychice owej żyje i po przez nią działa.

Oczywiście, wyrazem syntetycznym wszelkich czynników, wewnętrznych tudzież zewnętrznych, kształtujących świadomość i znajdujących w niej odbicie, wyrazem najwymowniejszym, jest piśmiennictwo. Puścizna piśmiennicza staje się tedy dla Gebharta tym złotym kluczem, nad wszystkie inne cenniejszym, którym odmyka łono przeszłości.

Literatura pewnej epoki tłomaczy mu jej światopogląd; z kolei zaś światopogląd odsłania przed nim układ owych sił, potęg i żywiołów społecznych, na których się wspiera, z których wyrasta i które napróżno usiłuje... przezwyciężyć.

Emil Gebhart jest z powołania historykiem wielkich przełomów ideologicznych; najwrażliwszy zmysł posiada on dla czynników duchowych w rozwoju ludzkości; nic przeto dziwnego, iż pociągają go najbardziej te stulecia, które były areną kolosalnych zapasów ideowych: schyłek świata antycznego i podbój tegoż przez gminy chrześcjańskie; śmiertelny antagonizm papieży z władzą świeckich monarchów; wpływ polityki Watykańskiej na losy religji i życie kościoła; wreszcie pierwszy brzask Odrodzenia, przedzierający się skroś mury Średniowiecza do zamków i klasztorów włoskich, zmartwychwstające pogaństwo i nowa, trymfalnie wznowiona, walka klasycyzmu greckorzymskiego z chrześcjaństwem, — oto rozległa dziedzina badań, na której piętrzy się dzisiaj obfity i zasłużony plon przeszło półwiekowej pracy znakomitego francuskiego historyka.

Stosunek jego do chrześcjaństwa, do religji wogóle, do katolicyzmu nawet, jest przyjazny; ma on dla zjawisk życia duchowego tę sympatję historyka, tę słoneczną pogodę badacza, którą tchnęły np. wszystkie dzieła Renana. W instytucjach kościoła, w aktach religji szanuje on ów wysiłek woli, który im dał życie, kocha w nich ofiarę duszy i potęgę myśli, które z czystych wypłynęły źródeł, aczkolwiek w następstwie poszły w usługę poziomych żądz i nizkich zabiegów.

Wkroczenie chrześcjaństwa do Europy i opanowanie przez nie młodych ludów germano-słowiańskich uważa Gebhart za postęp niezaprzeczony na drodze rozwoju społecznego i moralnego tych ludów. Cywilizacja starożytna, gasnąca i wyczerpana, bezsilna była wobec zadań oraz impetu młodego życia. Atoli ustępując z pola, przekazała chrześcjaństwu wzory silnej organizacji politycznej, w którą nieomieszkał z genjalnym mistrzowstwem i stanowczością wcielić się Kościół Katolicki.

Kościół ów przejął w spadku po cywilizacji ideę rządzenia światem, i w dziedzinie polityki papież stał się konsekwentnym następcą na tronie cezarów, ale nie zdołał przejąć i uratować zasobów intelektualnych świata starożytnego. Powszechny poziom umysłowości w 6-ym i 7-ym wieku spada w Europie o wiele poniżej zrozumienia i odczucia dzieł Euklidesa, Lukrecjusza, Epikura, Zenona lub Horacego. Jednocześnie ze strąceniem kolumn marmurowych w świątyniach Jowisza, strącony został kwiat twórczości na radosnych niwach apollińskich. Umilka w gajach oliwnych pieśń Djonizosa. Na długie wieki gaśnie krytyczna myśl filozofów. Świat cały powleczony zostaje jakoby cieniem pokuty.

Z żarliwych głębin wiary tryskają nowe pojęcia o świecie i przeznaczeniu człowieka. Pod osłoną ideałów chrześcjańskich tworzy się nowa samowiedza życia, wyrasta nowa ideologja. Kuźnicami tej tworzącej się zwolna ideologji stają się klasztory. Zakony dają początek nowym systematom pracy i myślenia. Na arenę świata występuje m n i c h, z a p r z e c z y c i e l w a r t o ś c i ż y c i a, i poczyna dyktować prawa ludzkości. Życie duchowe Średniowiecza skupia się we wzajemnym oddziaływaniu na siebie klasztorów oraz w nieustannym ścieraniu się potęgi mnichów z władzą zwierzchniczą papiestwa.

(C. d. n.) *St. Romanowski.*

KRYTYKA.

„Pustynia rośnie".

(Z powodu powieści St. Brzozowskiego „Sam wśród ludzi").

W „Legendzie Młodej Polski" Brzozowski powiada: „W *Płomieniach* — a potwierdzi to każdy, kto chce tę książkę przeczytać bez uprzedzeń — usiłowałem przedstawić, że brak świadomości narodowej prowadzi do odrywania się jednostek samoistniejszych od narodowej wspólności, do widzenia życia w abstrakcyjnych uproszczających dogmatach, do niemożności odnalezienia związku z narodem bez zrzeczenia się własnej swobody". A nieco dalej: „Intencją moją było dać obraz przebiegu psychicznego, w którym procesy intelektualne odgrywały i muszą odgrywać znaczną rolę". Słowa te stosować się mogą również do powieści „Sam wśród ludzi", która jest pierwszą częścią większej całości p. t. „Dębina".

I tu widać ludzi, miotających się w próżni, ode-

rwanych od twórczości życia przez nałogi i uproszczające dogmaty abstrakcyjne. Stary pan Ogieński dogasa hardo wśród skostniałych przesądów arystokratycznych. Filozof Truth wegetuje skutkiem zagłuszenia w sobie wszystkiego, co nie jest djalektyką. Trawka ginie, upojony trunkiem mistycznym. Roman Olucki jest tym siłaczem, który zamiast przenosić góry, obtłukuje wściekłymi uderzeniami buta tynk w celi, do której go zamknięto.

Brzozowski korzysta z licznych wspomnień i materjału anegdotycznego, by odmalować atmosferę i charakter panków kresowych, owych rycerzy krwistych a bezczynnych po upadku Rzeczypospolitej, w których pulsował nadmiar sił żywotnych a próżno marnotrawionych.

Rzecz dzieje się w drugiej ćwierci ubiegłego stulecia. Co uderza w postaciach, tworzonych przez Brzozowskiego, to bogactwo chaosu, burzliwe fermentowanie owych sfer podświadomych, z których się rodzi świat uświadamiany. Postacie Brzozowskiego jakoby przypadają nieustannie uchem do swej własnej, garbiącej się pod parciem żywiołów powierzchni i nasłuchują. Są to istoty zasłuchane, lecz nie w głos Boga lub społeczeństwa, lecz w swój własny odzew, nad którym jeszcze nie panują. Są to niestrudzeni *chwytacze* samych siebie. Gdy się wejrzy w te dusze, widzi się rodzaj mgły czy gęstego wyziewu, w którym gubią się kształty i zacierają granice i gdzie można ujrzeć jakąś skrwawioną głowę tam, gdzie się spodziewało źródła wody ożywczej. Nic dalszego od twórczości Brzozowskiego, jak ów ład, spokój estetyczny, owo wytworne skrzepnięcie krawędzi, zapuszczenie w cień lub wystawienie na światło rzeczy czy twarzy, które wywołuje tyle zadowolenia w oszczędzającym siebie czytelniku!

Jedyną postacią, traktowaną bez jawnego lub ukrytego szyderstwa, jest w powieści istota wyjątkowa — Roman Olucki. Jego rozwój fizyczny w dzieciństwie „robił wrażenie nieustannego zrywania pęt przez niepohamowaną siłę". Naokół widzi skostnienie w formach wielkopańskich, próżniactwo, ubogą pobożność, żarłoczność, dobroduszność, jałowe marzycielstwo. Raz mu błysnęła wśród tych ludzi twarz inna i dusza inna, bohaterska dusza Jadwigi Koseckiej — lecz ginie porwana wichrem namiętności ku cudzoziemcowi—Kurbskiemu. Roman przeżywa tę katastrofę samotnie i dumnie. Potym następują wypadki małe w rodzaju romansu z Margot i ślubu Romana z Elżbietą. Dzika orgja w szynkowni, wśród której Roman strzela do dziewczyny i rani ją, wypędza go za granicę. Odtąd zaczynają się jego pielgrzymki i zetknięcia z różnymi ludźmi, którzy urabiają jego charakter aż do chwili, gdy powieść się urywa na progu jakiegoś decydującego przewrotu w duszy Romana. (Zapewne — koniec bólów porodowych i rezultat).

Ma to być człowiek, naprawdę mocny, któremu brak oddechu, bo urodził się w chwili dziejowego bezwładu, w jaki zapadł naród. Nosi na ustach od wczesnej młodości gorzki kurz rozczarowania w ludziach i wypadkach. Gdy jedyna istota, na którą Roman spogląda z uznaniem — Jadwiga — odrywa się od pnia ojczystego i niknie w pomrokach niewiadomej przyszłości — Roman czuje już niemal tylko wzgardę. Pogardza ludźmi i ideami. Wszystko naokół jest dla niego za mało żywe i płynne, za zbyt skrzepłe, pokorne, poddane i uległe. W każdym widzi coś wypaczonego, przedwcześnie zakrzepłego. Jest w nim wyraźniejszy i uporczywszy, niż w innych postaciach powieści, proces wyzwalania się z przemocy gotowych form życia. Chce on żyć nie szematem, lecz aktem twórczym. Ma ambicję, by od niego właśnie rozpoczynał się pierwszy dzień stworzenia. Dlatego czuje się tak ponuro osamotniony wśród ludzi, zakrzepłych w formułkach i wzorach, gdzie zamiast rwania się i pędu każdy chce stać na miejscu w obawie, że gdy ruszy, to się zabłąka, w przekonaniu, że tylko to, co stoi, ma rację po wieki wieków. Roman i niektóre inne postaci powieści robią wrażenie istot wijących się w bólach porodowych. Mają oni urodzić swój własny świat. Trzeba, aby człowiek kurczył się bólach porodowych lub kostniał i umierał. Niema innej drogi. Nie chodzi o to, by z bogatej skarbnicy gotowych idei i gotowych szematów, umieć wybierać najlepsze, zestawiać je i kojarzyć najdoskonalej, lecz o to, by mieć własne przeżycia i przez to własne idee. Cudze idee, które tak radośnie i nieoględnie gotów dziś zbierać człowiek, są trucizną, która wyjaławia glebę odbierającego. Człowiek czuje się pełnym doświadczeń, lecz doświadczeń cudzych. Każdy prąd samoistny przybijany bywa do krzyża gotowego już szematu. Wszystko w nas krzyczy, że każda chwila winna być nową, lecz nową nie jest z chwil żadna. Czyż żyjemy w pustyni, skoro Jehowa zsyła nam mannę — w postaci gotowych idei, gdy tymczasem pokarm winien z naszej wyrastać gleby.

Niebezpieczeństwo, które czuł uparcie a boleśnie Brzozowski—to niebezpieczeństwo wyjałowienia człowieka ze zdolności nowych przeżyć twórczych — niebezpieczeństwo, na które również wskazywał Nietzsche, mówiąc, że człowiek staje się coraz lepszy (to jest posłuszniejszy — bo to jest właśnie dobroć pedagogów!) i że „p u s t y n i a r o ś n i e".

Ten wzrost pustyni, ten dyletantyzm, gotowy przyjąć i ściskać każdą ideę, to kolekcjonerstwo różnych idei — jest tą groźną łuną, która wskazuje na *koniec* człowieka. Bohaterskim zadaniem Romana Oluckiego jest zamiar: wyleczyć się z zatrucia cudzymi ideami: przywrócić sobie zdolność wytwarzania bytu, to jest nie przyjmować gotowego świata, lecz go tworzyć, nie nabrzmiewać, jak tłuścioch, lecz rość jak dziecię.

Takie żądanie życia samoistnego stawia Brzozowski. Inne postaci są odchyleniami i wypaczeniami Romana — człowieka, który chce być *twórczym*. Im dalsze odchylenie, tym z większą ironją traktuje postać autor. „Niema — mówi przez usta Romana — żadnego ideału, żadnej idei. To wszystko trzeba stworzyć. Musisz to wszystko tworzyć, już nie dlatego, że jesteś powołany do jakiegoś wielkiego, jedynego dzieła, lecz poprostu, aby nie kłamać, aby nie żyć, pod nieustannym brzemieniem pogardy własnej".

Lecz dlatego właśnie, że autor traktuje wszystkich jako wypaczenia jednego doniosłego typu, że wskazuje, jak to brak myśli, czujności, uczucia lub uniesienie namiętne — słowem niewolnictwo wobec pewnej chwili — może wykoszlawić, napiętnować śmiesznością lub wprost zniweczyć człowieka, — to wszystko sprawia, że postaci Brzozowskiego, mimo różnic zewnętrznych, są sobie podobne. Wszystkie one były stworzone po to, by na nich coś jednakowego zademonstrować. Maniera artystyczna Brzozowskiego — pomimo wspaniałych nieraz wynurzeń i aforyzmów, jest nużąca. Wprowadza on coraz to nową osobę i poczyna wykładać jej życie psychiczne. Opowiada rozwlekle, z kamienną cierpliwością, jakim sprężynom i czynnikom podlega ów człowiek, co się w nim zaklęsło, a co wygórowało, co zatęchło, a co dało ruń. W ten sposób ma się nieustanne przerywanie wątku. Czytelnik, który już przebrnął przez piętnaście introdukcji, czuje się wprowadzonym do szesnastej i przeniesionym ze środka powieści na początek. A to przecie ma swe konsekwencje! Tempo powieści jest powolne, epizodów nawał. Malowane to wszystko szeroko a płasko, bez perspektywy, z rozmachem i potęgą inteligencji, lecz zarazem pogardą środków estetycznych, które potęgują wpływ dzieła i chronią przed cierpkim smakiem jednostajnego obnażania duszy.

Leon Choromański.

Upadek powieści literackiej.

3)

(Dokończenie).

Znamieniem naszych czasów jest wybujała potęga czasopiśmiennictwa, które pod swe skrzydła opiekuńcze zagarnęło twórczość literacką; wydawnictwo czasopism zrazu było przedsięwzięciem bezinteresownym; w miarę atoli rozwoju środków komunikacji i komplikacji stosunków społecznych, stało się interesem materjalnym, z którego zawodowcy-dziennikarze czerpać jęli sowite zyski. Zmaterjalizowanie prasy odbić się tedy musiało na literaturze, która w czasopiśmie znalazła przytułek. Dziennik wciągnął ją w gwar ulicy, w wir kapitalizmu, narzucił jej pogoń za zarobkiem i miraż piękna zasłonił mirażem złota.

Dziennik stał się pomostem, po którym twórczość literacka ze szczytów Olimpu zstąpiła na bruk ulicy. Oto jest, zdaniem francuskiego pisarza, przyczyna podstawowa spospolitowania się beletrystyki współczesnej.

Skoro Montepin, Ohnet i Theuriet byli równie sławni jak Flaubert, Zola i Goncourt, to pocóż trwac w uporze do literatury artystycznej, jeżeli literatura innego rodzaju, literatura rzemieślnicza jest tak łatwa, ponętna i obiecująca? Tworzyć dzieła sztuki, być genjuszem, którego imię opromieni czoła stuleciom?... Jest to sen, który nawiedza nas w dwudziestym roku życia. Ale rok dwudziesty nie trwa nigdy dłużej niż lat dziesięć, co najwyżej. I gdy trzydziestka wydzwoni, zawiedziony marzyciel spostrzega ze smutkiem, iż nie będzie ani Wiktorem Hugo, ani Flaubertem, ani Tołstojem. Przestaje tedy śnić o sławie i zaczyna walczyć o... zdobycie rynku księgarskiego.

Ta decyzja praktyczna zyskuje uświęcenie dzięki górującym obecnie dążnościom amerykańskiego i angielskiego ekonomizmu. Pisarz, posiadający talent, poczyna traktować go jako swego rodzaju... kapitał osobisty, dający, przy eksploatacji umiejętnej, poważne odsetki w postaci honorarjów autorskich.

Wielce pouczający jest przykład Maurycego Leblanca, przytoczony przez Charpentiera na dowód wynaturzania się smaku pisarskiego przez zapotrzebowania rynku. W początkach swego zawodu literackiego, około roku 1890, Leblanc ogłosił krótką powieść: *La Fortune de M. Fouque*, która poczytana być może za małe arcydzieło, i pod którą, od biedy, mógłby się, bez ujmy, podpisać Maupassant. Rozumie się, książka przeszła niepostrzeżenie, nie znajdując nabywców. Autor, nie zrażając się pierwszym niepowodzeniem, walczył jednak z obojętnością ogółu i walczył wytrwale w ciągu lat kilku. Nakoniec, kiedyś, w jednym z dzienników zamieścił drobne opowiadanko, w guście anglo-amerykańskim: *Arsène Lupin*. W przekonaniu autora, był to drobiazg, błahostka, zamykająca się w jednym odcinku.

Aliści, Leblanc, pisząc ją, nie liczył się z publicznością i z powodzeniem. Tymczasem opowiadanie owo zdobyło śród publiczności tak wielkie powodzenie, iż do redakcji dziennika zewsząd napłynęły listy, z żądaniem dalszego ciągu. Autor, zdumiony tą niespodzianką, napisał drugie opowiadanie, potym trzecie, potym... trzy tomy. W taki to sposób Arsenjusz Lupin stał się jedną z najpopularniejszych postaci w chwili obecnej, gdy *Fortune de M. Fouque* znana jest ledwie kilku literatom.

W taki to zarazem sposób wybitne nawet talenty, powołane do służenia wysokim zadaniom sztuki, staczają się na bezdroża handlarskiego rynku. Na rynek ów wystąpiły tłumy nowej, nieokrzesanej publiczności, której smak nizki, lecz zachłanny, otworzył tak szerokie pole zbytu dla książek, o jakim dawniej nie śmiano marzyć. Literatura, równie jak wszelkie inne funkcje życia społecznego, ulega szybkiej demokratyzacji. Niegdyś odpowiadała ona zainteresowaniom oraz gustom garstki umysłowców śród najzamożniejszych, uprzywilejowanych tylko, klas narodu. Dzisiaj widnokręgi jej rozsunęły się niemal w nieskończoność, obejmując olbrzymie masy społeczne, które z kolei powołują cały legjon pisarzy dla dostarczania właściwej masom tym lektury. Jeśli literatura dawniej kusiła się o dostarczanie znawcom rzadkich przysmaków, to dziś dba jedynie o to, aby w wielkich ilościach produkować tanią, surową, niekiedy ordynarną strawę dla zaspokojenia głodu duchowego mas. Ów zaś głód duchowy bywa przeważnie głodem— bajki, opartej na zewnętrznych starciach i powierzchownych powikłaniach. Możnaby powiedzieć, iż powieść współczesna, w porównaniu z dawną twórczością literacką, straciła na głębi przez to, iż rozlała się na olbrzymie płaszczyzny społeczne, ogarniając obszary, które dotychczas leżały całkiem poza dziedziną dostępną jej działaniu.

A skoro tak, to staje się rzeczą oczywistą, iż żadne sztuczne, choćby najbardziej skomplikowane środki walki z powieścią sensacyjną, nic tu nie pomogą. Niektórzy proponują np. przedsięwzięcie szeregu wydawnictw powieściowych o zacięciu również sensacyjnym, ale na podkładzie moralizatorskim. Jałowość tego przedsięwzięcia bije w oczy: naprzód, zauważmy, że lud, tak jako i dziatwa, kocha się w bajce amoralnej i najmniejsza zaprawa moralizatorska odstręczy go od podsuwanej mu lektury, jak od przykrego lekarstwa; powtóre zaś, zapytajmy siebie, czy z ł e m p r a w d z i w y m jest istnienie książek kryminalistycznych, czy też stan umysłowy ludu, tak nizki, iż dla książek owych staje się bezgraniczną areną konsumcji? Nie z książkami tedy walczyć powinniśmy, ale ze stanem umysłów, który je powołuje do życia i pochłania, jako strawę.

Lecz jakże to walczyć będziemy?

Czy metodą pana Kosiakiewicza, mobilizując przeciwko sensacyjnej powieści niemoralnej powieść również sensacyjną, ale moralizatorską? I cóżbyśmy w ten sposób osiągnąć mogli? Wszak chodzi o podniesienie skali umysłowej i smaku literackiego u ludu, tymczasem powieść sensacyjna, wszystko jedno: moralna, czy niemoralna, z natury zawsze będzie płaska, powierzchowna, zawsze gonić będzie za błyskotką i brzękadłem. Wyrastając z jałowego pnia, z kolei rodzić będzie owoce jałowe. Tylko powszechna praca nad oświatą, nad kulturą i postępem, podnosząc umysłowość szerokich mas, podniesie zarazem poziom smaku literackiego.

Literatura w dawnym pojęciu wybraństwa, w dawnym stylu arystokratycznym, przechodzi głęboki przełom. Królowała ona dotychczas na wyżynach społecznych, oświecona aureolą kultu, strzegąc skarbów narodowych, oprawionych w relikwiarze przeszłości. Atoli w ostatnich lat dziesiątkach demokratyzacja postąpiła naprzód krokiem olbrzymim. Czytelnictwo od dołu wezbrało jak spieniona morska fala. Niziny społeczne jęły się równać z wierzchołkami. Sięgają one z każdym rokiem coraz wyżej i już tłumnym gwarem oblegają samotne szczyty, gdzie zdana straży nielicznych wybrańców, króluje w obłokach świętej tradycji chwała literacka narodu. Tam, do gmachu narodowej chwały, gdzie nieśmiertelne posągi Adamów, Juljuszów, Zygmuntów, tajemne dobywają przysięgi z serc miłośników poezji, tam z gwarem i łoskotem wpada rozhukana tłuszcza, aby u ścian świątyni stawić ołtarze panu Gąsiorowskiemu, albo pannie Mniszkównie, swym bogom dzisiejszym.

Snadno pojąć, jakim wandalizmem, jaką brutalnością dzikiej, napastliwej inwazji, razić musi ten wybuch naiwnego kultu dusze artystyczne i serca na piękno wrażliwe.

Jednakowoż, jakkolwiek silny być może pierwszy odruch odrazy, przyznać trzeba, iż wybuch powyższy jest wybuchem życia; inwazja owa, aczkolwiek

barbarzyńska, jest inwazją nowych i świeżych żywiołów. Dzisiaj, hulają one po niwach literatury jak dzikie tabuny, depcąc i wywracając, wogóle zaś pustosząc dotychczasowe niewątpliwie cenne wartości.

Ale nie żałujemy pracy, aby te świeże zastępy wcielić do kultury, obudzić w ich mózgach żywotne zagadnienia i płodne myśli, a rychło przekonamy się, że proces demokratyzacji, w literaturze, równie jak w innych dziedzinach, chwilowo tylko obniża poziom twórczości i dobór współdziałania, w rezultacie zaś prowadzi zawsze do powiększenia ogólnej sumy sił społecznych i duchowych.

J. Tarczewski.

NA DOBIE.

Szczęśliwy zapis.

Brzmi to prawie fantastycznie, a jednak jest szczerą prawdą. Kasa im. Mianowskiego w Warszawie, jedyna na szerszą skalę zakreślona u nas instytucja pomocy naukowej, znalazła się nagle w posiadaniu miljonowego źródła dochodów nadzwyczajnych.

Oto jak to się stało: zmarł przed kilku laty w Baku, na Kaukazie, przemysłowiec inż. Zglinicki, rodem z Płocka, wychowaniec uniw. warszawskiego i właściciel terenów naftowych w Bibi-Ejbat. Między wielu zapisami na różne cele filantropijne i społeczne zapisał niewyzyskany jeszcze teren naftowy Kasie im. Mianowskiego, która zapis przyjęła, acz niechętnie, bo nie wróżono sobie żadnych z tego źródła korzyści. Po pewnym czasie teren przeszedł w posiadanie firmy Rotszyldów na takich warunkach: jednorazowo rb. 3000 i 20 proc. spodziewanych czystych zysków. Zyski te były zrazu niewielkie, bo wypłacany procent nie przekraczał 1000 rs

Aliści w sierpniu r. b. nadszedł do Warszawy czek Rotszyldów na 75,000 rs., a w następnym miesiącu Kasa otrzymała z tego samego źródła 90,000 rs. wraz z zapowiedzią, że wobec olbrzymiej wydajności terenu przypadająca na Kasę część zysków regulowana będzie co miesiąc.

Spodziewać się więc można, że złoto nadal wpływać będzie do naszej instytucji naukowej obfitą falą, co najlepsze rokuje nadzieje dla tłumnego zastępu pracowników polskich na polu naukowym, dotąd skąpo i nierówno wspieranym przez Kasę, niedość zasobną, by zaspokoić wszystkie potrzeby.

Żywimy niezłomną nadzieję, że zarząd Kasy im. Mianowskiego równie żywo i sprawnie zakrzątnie się dokoła wypełniania swoich względem społeczeństwa obowiązków, jak żywo i sprawnie wypełniła swoją część zobowiązań wobec Kasy firma naftowa Rotszyldów.

Postokroć błogosławiony zapis Zglinickiego wślad za hojnym darem hr. Potockiego i innych osób na rzecz Tow. Naukowego — winien nareszcie wypełnić ziejącą lukę w naszej kulturze umysłowej i stworzyć dla biednej, zaniedbanej wiedzy polskiej erę świetnego rozkwitu.

Papież w Jerozolimie.

Ludność „wiecznego miasta" Rzymu, a i cała prawie zjednoczona włoska ojczyzna zasadną żywi urazę do kurji papieskiej za nieprzejednane i wrogie stanowisko tudzież ciągłe po obcych dworach konszachty i spiski.

Z drugiej znów strony przewaga żywiołów liberalnych w rządzie i w radzie miejskiej, na Kwirynale i Kapitolu, wprawia Watykan w stan ostrego rozdrażnienia. Z oficyn papieskich wypuszczono tedy niedawno *ballon d'essai* w kształcie pogłoski o zamierzonym przesiedleniu kurji do Lourdes lub do Strasburga, o czym wspominaliśmy w swoim czasie. Pogłoska miała rzucić popłoch w te sfery stolicy, które pośrednie i pokaźne ciągną zyski z kroci tysięcy przyjezdnych pobożnych pielgrzymów (zyski bezpośrednie wpływają do kas Watykanu) Stangreci, posłańcy, sklepikarze i hotelarze mieli zatym przejść ławą z obozu lewicy radykalnej na łono kościoła i zapewnić w najbliższych wyborach klęskę znienawidzonego tam burmistrza Ernesta Natana.

Widocznie manewr nie osiągnął zamierzonego celu skoro Watykan używa znów nowej serji podniet w tym samym duchu. Według relacji katolickich pism niemieckich jeden z kardynałów, mówiąc o toczącej się wojnie, miał się wyrazić:

— „Jeżeli Turcja się obecnie rozpadnie, Papież zażąda dla siebie ziemi świętej z tytułem króla Jerozolimy. Jeżeli osiągnie ten cel to w kształcie kompensaty gotów zrzec się pretensji do władzy świeckiej nad Rzymem".

Niezwykły ten projekt niezwykłą też wywołał sensację i cały szereg wywiadów w prasie zagranicznej. Różne są poglądy na tę sprawę, a na wyszczególnienie zasługuje głos przedstawiciela centrum, znanego posła Erzbergera, który powiada:

— Wola Papieża jest naszą wolą. Jeśli uzna za stosowne przenieść się do Palestyny, napewno nie będziemy mieli nic przeciwko temu. Papież nie może być poddanym jakiegokolwiek mocarstwa. Z tego powodu projekt przeniesienia kurji do Jerozolimy zasługuje na poparcie, Myśl ta nie jest tak dziwna jak się na pozór wydaje, przecież rozważano (?) projekt Alzacji, jako siedziby Papiestwa. Wszystko zależy od Papieża, który musi zostać władcą niezależnym, a pojęcie zwierzchnictwa obejmuje niezależne terytorjum. Palestyna — państwem chrześcijańskim pod władzą Papieża! Musiałbym kłamać, gdybym przeczył, że cieszyłbym się z tego, a sądzę, ze mną i wszyscy katolicy".

Gdy tak sjonizm katolicki staje do współzawodnictwa na Ziemi świętej z żydowskim sjonizmem, tymczasem wrót Jerozolimy strzeże garnizon turecki przed jednym i przed drugim, a mocarstwa nie śmią jakoś przystąpić do aktu dobicia „chorego człowieka" nad Bosforem.

Rzym, Jerozolima, Konstantynopol!

Historja ostatnich dwóch tysiącoleci splotła te trzy miasta w tragiczny węzeł zdarzeń epokowych. Lecz do tych trzech grodów teraźniejszość dorzuca czwarty — Warszawę, której ludność katolicko-żydowska zwraca duszę i oczy ku dalekiej, egzotycznej Palestynie, skąd dla jednych i drugich zaświtać mają dwie odmienne, a przecież pokrewne zorze: odrodzonego Sjonu i niezależnej stolicy Piotrowej...

I czyż można się dziwić, że tak naprzemian fascynowana dalekim z nad Jordanu mirażem, ludność tego kraju własne swoje rodzinne nad Wisłą sprawy zaniedbywa i zapuszcza! Dobrych mozaistów i żarliwych katolików znajdzie się tu sporo, lecz dobrych obywateli-Polaków — niewiele.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Lucida intervalla.* P. A. Miecznik, natchniony urzędowym komunikatem w *Osservatore Romano*, który oznajmia że w wojnie Włoch z Turcją Watykan pragnie być neutralny, takie czyni uwagi na temat minionych walk Krzyża z Półksiężycem:

I walczyły ludy w imię Krzyża, w obronie wielkiej chrześciańskiej cywilizacji. Walczyły z wrogiem strasznym, okrutnym i potężnym.

Wtedy to te wojny z Turcją nosiły na sobie naprawdę cechy krzyżowe. Wtedy to i Polska walczyła, zapoznając swoje własne interesy państwowe, nawet wbrew swym interesom — w imię Krzyża, w imię Ideału Boskiego.

Nazwano ją przedmurzem chrześciaństwa w Europie i była istotnie takim przedmurzem.

Polska też zadała tej wrogiej chrześciaństwu potędze cios śmiertelny na sto lat przed swym upadkiem. I rzec można: wyczerpały się jej siły w tych walkach z Półksiężycem...

Swięta prawda! Bezstronni badacze naszych dziejów łacno zauważyć mogli, że Polska w imię interesów kościelnych zaniedbywała własne narodowe interesy — i to było przyczyną jej zguby.

Lecz o tym ponurym fakcie milczą przezornie zastępy uznanych dziejopisów, bo nie chcą narazić się potężnym sferom klerykalnym... Natomiast krzyczy o tym głośno niezależna prasa postępowa, krzyczy, bo chce by ją usłyszano, i nie bez skutku widocznie, skoro echa naszych twierdzeń rozlegać się poczynają w... *Dzienniku Powszechnym*, skąd wyjęliśmy właśnie powyższą cytatę.

* *Dogmat zamiast sumienia.* Zastraszający zanik cnót moralnych dostrzega *Słowo* w sferach robotniczych, biorąc asumpt do tego spostrzeżenia z aktu wstrząsającej zbrodni przy ul. Grzybowskiej, gdzie pod kulami szaleńców terroru padły cztery osoby...

> Cztery ofiary bandytyzmu (?) — to rzecz okropna! Ale jeszcze okropniejsza jest groźba, która dla społeczeństwa bije z krwawego wypadku.
>
> Jeżeli zawczasu nie pomyślimy o ratunku, jeśli dziś zaraz nie rozpoczniemy tamy ochronnej—czeka nas zguba.
>
> Postęp, patrjotyzm, instynkt zachowawczy, dobrobyt — wszystko wymaga warunków przyjaznych dla pracy. Trzeba rany pogoić, trzeba braki wypełnić. Bez podniesienia dobrobytu ogólnego, niczyja dola się nie poprawi. Zostaliśmy w tyle za narodami innymi! Do odrodzenia, do ratunku trzeba nam zdobywać wszystko: naukę i cnoty, budować przemysł i rozwijać handel. Bez spokoju niema pracy!

Przytoczone tu słowa są chyba wyrazem jednomyślnej opinji całego społeczeństwa bez różnicy odcieni i poglądów partyjnych, boć rzeczą jest jasną, że wobec takich aktów opętańczego anarchizmu wszystkie dojrzałe i zdolne do twórczej pracy żywioły wspólne zajmują stanowisko.

To też z organem realistów pospołu rzekną zgodnie: „Nieodzowna jest twórcza praca społeczna. Więcej światła! Gdzie ciemnota tam musi kryć się zbrodnia!"

Lecz nie wszyscy zgodzić się mogą na poniższą konkluzję *Słowa*:

> Życie społeczne nie może istnieć bez panowania dogmatów moralnych, wśród których nie zabijaj! zajmuje miejsce naczelne.

Istotnie—chcieć zdrowe życie społeczne oprzeć na fikcji, w którą się samemu nie wierzy—toć to akrobatyka niższego gatunku i bardzo przytym niepewna.

Łudzi się ten, co chce sumienie zastąpić dogmatem. Wszak pobożny do szpiku kości kalabryjczyk lub sycyljanin, co nosi szkaplerz na piersi i nóż składany w kieszeni, (równie częsty z tych dwóch przedmiotów czyni użytek, a mnich jasnogórski potrafił ofiarę swą na śmierć dysponować przed zadaniem jej ostatniego ciosu.

Dogmat i sumienie — to dwie rzeczy różne, szanowni panowie ze *Słowa!*

* Ostatni zeszyt łomżyńskiej *Wspólnej Pracy* stanowi jaskrawy dowód, że nieścisłość i dyletantyzm w traktowaniu spraw politycznych potrafią najlepsze nawet chęci doszczętnie wypaczyć i zamiast harmonji w pracy kulturalnej wprowadzić większy jeszcze niż dotychczas nieład i zamęt ideowy.

Wspólna Praca wystąpiła z artykułem potępiającym „Szumne hasła" skrajnej rewolucyjnej lewicy i zalecającym natomiast pracę pozytywistyczną i realną nad podniesieniem ducha narodu, jego oświaty i kultury. Jest to więc, jak widzimy, zakres działania zgodny z programem postępowym sfer, grupujących się dokoła *Prawdy Myśli Niepodległej* i *Zarania* pod egidą wolnej myśli i radykalizmu społecznego. Termin „radykalizm" ma dziś odrębne i wyraźne znaczenie, podobnie jak dwa inne terminy: liberalizm i socjalizm. Nie wie o tym wszelako łomżyńska *Wspólna Praca* i w najlepszej wierze raczy swoich czytelników takim bigosem:

> Tyranja ideowa dogmatów i szablonów, krępująca swobodę myśli, jest bodaj nawet szkodliwsza, niż tyranja formalna, krępująca swobodę słowa i działania. Prawomyślność radykalna w istocie swej nie różni się niczym od prawomyślności klerykalnej. Powtarzanie bezmyślne formułek Marksa, lub wszelkich innych, najbardziej postępowych i radykalnych pewników wiedzy politycznej i społecznej, tak samo ogłupia, jak powtarzanie formułek obrzędowych

Autor cytowanych tu zdań, kładąc „powtarzanie formułek Marksa" na karb „prawomyślności radykalnej" zapewnia też, że „w kołach radykalnych sprawy narodowościowe pojmuje się w sposób uproszczony i mechaniczny", a mianowicie:

> Dosyć powszechny, a zazwyczaj bezwiedny jest u nas samobójczy radykalizm, który polega jedynie na zohydzeniu przeszłości i teraźniejszości narodowej, na jakiejś chorobliwej nienawiści do wszystkiego, co polskie, na opluwaniu godności swego narodu i obniżaniu jego wartości, na szkodzeniu jego interesom i zaprzeczaniu jego praw.

Wszystkie więc zarzuty jakie wytoczyć można i należy przeciw najbardziej krańcowemu skrzydłu ortodoksalnej skrajnej lewicy, mentor łomżyński najniefortunniej i najsłuszniej stosuje do polskiego radykalizmu, kończąc wywody swoje formułą równie niedorzeczną jak poprzednie: „Tania rewolucyjność radykalnego sportsmana jest robotą równie destrukcyjną, jak tania dyplomacja narodowego polityka", na co trafnie odpowiedzieć można: Tani dyletantyzm zawodowego nieuctwa szerzy największe spustoszenia.

Mamy niepłonną nadzieję, że redakcja *Wspólnej Pracy* zgodzi się bez trudu z tym spostrzeżeniem i wspomnianym spustoszeniom zawczasu kres położy.

Prawda, organ radykalizmu polskiego i polskiej wolnej myśli nie po raz pierwszy zwraca uwagę na dowolne, nieścisłe i niesumienne używanie u nas terminów politycznych, tym razem jednak przykry ten zwyczaj objawił się w szczególnie oburzającej formie i to na łamach pisma, które zdołało zaskarbić sobie sympatję i zaufanie ludzi bezstronnych.

* *Curiosum.* Zmarły niedawno ks. Józef Lubomirski zapisał 25,000 franków *Towarzystwu literatów francuskich* jako kapitał od którego procenty mają tworzyć nagrodę wypłacaną co dwa lata w kwocie 1,500 fr. za najlepszą powieść historyczną lub awanturniczą(*roman d'aventures*) z poprzednich dwóch lat. Czyn polskiego magnata wywołał ze strony *Kurjera Porannego* następujące sarkastyczne, słuszną goryczą przepojone uwagi:

> Polski magnat, wspomagający bogate piśmiennictwo francuskie polskimi pieniędzmi. Piękny to gest! Patrjotyczny! W Polsce tyle ustanowiono nagród literackich, że literaci nie wiedzą już co robić z pieniędzmi! Ach, niepodobna wyliczyć tych wszystkich bogactw, jakie uprzyjemniają życie polskiemu dramatopisarzowi, nowelliście, krytykowi... To setki publicznych bibljotek polskich, które przyprawiłyby o atak zazdrości Carnegiego, budującego własnym kosztem we wszystkich miastach ojczystych gmachy bibljoteczne! Te liczne subwencje na wydawnictwa przekładów arcydzieł obcych na język polski! Tyle ma polska literatura pieniędzy, że... trzeba kilkadziesiąt tysięcy franków rzucić ubogiej literaturze francuskiej! Znajcie Francuzy polskiego pana...
>
> Chce się gorzko śmiać!

* Belgijski korespondent *Gońca* wita z uniesieniem świetne zwycięstwo bloku wolnomyślnego podczas ostatnich wyborów gminnych.

Ponieważ liczby mówią językiem najbardziej przekonywującym, podaję wam dla charakterystyki zwycięztwa bloku: 60) gmin przyjęło bez żadnej walki listę kartelu, większość klerykalna upadła w Lovanium, w Namur, w Dinant. Rzecz wprost nie do wiary – już o godz 3 po poł. nadchodzić zaczęły wieści z prowincji o zwycięztwie, gdy zwykle rezultat wyborów wiadomy się staje o 5 — 6 wiecz.

A więc p. Scholaert ma, czego chciał. Nawet właśni jego wyborcy, z których większość miała po cztery głosy na osobę, wyborcy w katolickim Lovanium, pogrzebali ów osławiony projekt powszechnego klasztornego nauczania w Belgji.

Gdym dwa tygodnie temu był na wiecu przedwyborczym, zdziwił mnie niepomiernie socjalista Furnemont, który w zapale krasomówczym (o, ten zapał figle nielada płata!) skłonił się przed wodzem liberałów p. Hymansem i powitał go jako przyszłego prezesa ministrów.

Teraz widzę, że zdziwienie moje zgoła nie było usprawiedliwione.

Belgja należy dziś do postępu i do demokracji.

Wypada nadmienić, że Furnemont, socjalista, którego niezwykły — dla nas — giest zdziwił korespondenta *Gońca*, jest sekretarzem głównym Międzynarodowej Federacji Wolnej Myśli. Jeśli więc Belgja „należy dziś do postępu i do demokracji" nie jest to bynajmniej rzeczą przypadku, ani szczęśliwym zbiegiem okoliczności, tylko wynikiem wspólnej, rozumnej pracy lewicy umiarkowenej i skrajnej na terenie polityki społecznej.

* *Ośla łąka.* „Uwadze pana Prusa i innych pismaków wysługujących się kapitałowi" — (*Praca* Nr. 2 tygodnik społeczny, polityczny i literacki.)

KRONIKA.

WALKA O ZIEMIĘ... Pisma polskie zaboru pruskiego wszczęły w ostatnich czasach larum, wskazując społeczeństwu dziesiątki wypadków kupczenia i sprzedawczykowstwa ziemi polskiej. Smutny ten zaiste objaw w ostatnich 6-ciu tygodniach (wrzesień i połowa października) powtórzył się wielekroć we wszystkich dzielnicach polskich zaboru pruskiego.

Pisma zwracają uwagę całego społeczeństwa na to, iż obecnie zaprzepaszczają ziemię, nietylko karmazyny i wielcy posiadacze rolni, ale drobni rolnicy. W ostatnim miesiącu poczynione zostało mnóstwo tranzakcji, które oddają w ręce niemieckiego „Molocha" liczne drobne gospodarstwa podmiejskie, przyczym rolę pośredników biorą na się przeróżne zrzeszenia finansowe przeciwpolskie, sprawiając to, iż posiadłaści te przez Polaków odkupione być nie mogą...

Najsromotniej w Poznańskim na listę pomniejszycieli ziemi ojczystej dostała się p. Bogusławska sprzedając przez agenta—Polaka — komisji kolonizacyjnej 1000 morgowy majątek Goryszewo w pow. mogileńskim silnie przez niemczyznę zagrożonym. Dalej „wyspę Edwarda" pod Zaniemyślem (w pow. dredzkim) Józef Skiera i Jan Wagner z Poznania sprzedali Niemcowi. Osiemdziesięciomorgowe gospodarstwo w Naramowicach i siedemdziesięcio-morgowe w Cotoni przeszły w posiadanie niemieckie. P. Władysław Sztukowski zaprzepaścił 400 morgów liczące Piotrowo, któee przeszło we władanie zniemczałych hr. Raczyńskich z Obrzycka. Właściciel ziemski An. Paszkiewicz, sprzedał 300-morgowy folwark Mocanówko w pow. czarnkowskim — Niemcom. Gospodarz Słowacki z Rakowa, w pow. witkowskim, sprzedał 132 morgowe gospodartwo Niemcowi—Tischmannowi.

Jedno 160-o morgowe gospodarstwo, jak donosi *Dziennik Bydgoski*, zaprzepaścił p. Olszanowski. A więc „lista czarna" niecnych sprzedawczyków — pokaźnie wzrasta...

Smutne wieści idą też od naszych dziedzin nadbaltyckich. Oto w pow. Puckim, tym jedynym etnograficznie polskim skrawku ziemi obmywanym bezpośrednio przez fale morza, p. Brastman (Polak) zaprzepaścił w ręce niemieckie majętność Redziszewo — ostatnią polską placówkę ziemską (większą) w tym powiecie. Obejmuje ta majętność zwyż 1,300 morgów. Prócz tej wielkiej majętności przeszło w Prusach Zachodnich w ręce niemieckie kilka drobnych posiadłości, co do których obszaru nie posiadamy wiadomości...

Co do Prus Książęcych (Wschodnich), to Niemcy urządzają tam wielką akcję w celu wykupu posiadłości polskich. I oto w Niborku założono na powiat Niborski spółkę, która już zdołała wykupić od p. Jana Ostrowskie-Frankienowo (p. niborski) 1,100-morgowy folwark za cenę 160 tysięcy mk., a przed kilku laty sprzedawczyk dał 102 tys. mk... Zaś Antoni Olszewski z Łyny, również w p. niborskim, sprzedał tej samej spółce 200-morgowe gospodarstwo za 52 tys. mk. zaś dał przed kilku laty 42 tys... A więc w Poznańskim zaprzepaszczono ogółem 2,242 morgów (w ciągu 6 tygodni), w Prusach Zachodnich z górą 1,300 morgów, a w Prusach Książęczych aż do 1,300 mg. co na tamtejsze nasze stosunki jest b. wiele.

Teraz z kolei pomówmy i o naszych nabytkach. W pow. witkowskim nabył p. Wszelaki w Szydłowcu — 250-morgowy folwark za 124 tys. mk. Majętność ta znajdowała się w ręku niemieckim od niepamiętnych czasów. Prócz tego w W. Ks. Poznańskim pod Miłosławiem Polak nabył 50-morgowe gospodarstwo. W Prusach Zachod. zaś mimo zabiegów komisji kolonizacyjnej i dozoru landratów, udało się p. Lewandowskiemu nabyć od Niemca wielkie dobra rycerskie — Kossowiznę, za pół miljona marek.

A więc zdobyliśmy zaledwie około 1000 mórg ziemi, a straciliśmy gwoli niecnej spekulacji, aż 4,842 morgów Liczba to zastraszająco wielka.

Ta wzrastająca zaprzańcza skłonność do oddawania ziemi polskiej w ręce niemieckie w gruncie rzeczy grozi polskości daleko większym niebezpieczeństwem, niż pożądane przez hakatę — wywłaszczenie.

SKUP KOLEI WARSZ.-WIEDEŃSKIEJ. Powrócili do Warszawy: członek rady zarządzającej kolei warszaw.-wied. inż Józef Prüffer, dyrektor finansowy, inż. Karol Starassburger.

Niezwłocznie po ich przyjeździe odbyło się nadzwyczajne posiedzenie rady zarządzającej, na którym zastanowiano się nad stanem rzeczy, wywołanym przez ujawnioną przez rząd chęć skupu kolei warszawsko-wiedeńskiej.

Jak oświadczył prezes ministrów Kokowcow prezesowi rady zarządzającej kolei warsz.-wied. baronowi L. Kronenbergowi, skup jest rzeczą postanowioną, odnośny projekt jest już opracowany i ma być w ciągu kilku najbliższych tygodni złożony Radzie ministrów.

Z POLITECHNIKI LWOWSKIEJ. Politechnika we Lwowie została zbogacona dwiema nowymi katedrami i jedną docenturą. Liczy ona obecnie 1,745 studentów, z czego 29 proc. przypada na słuchaczy z Królestwa Polskiego. Inauguracja odbyła się w dnia 13 Października, przyczym prof. Denizot wygłosił odczyt p. n. „Kopernik a rozwój mechaniki".

KARA PRASOWA. Redaktor *Kurjera Lubelskiego* skazany został administracyjnie na 300 rb. kary z zamianą na 2 miesiące aresztu za zamieszczenie w n-rze 214 *Kurjera* przedruku z *Vossiche Zeitung* p. t. „Echa zamachu na Stołypina".

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują administracja „Prawdy" wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.